

Przyroda

NUMER 16-17
T O M I
R O K 21



WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1936 ROKU
TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Jak żółte jaskry okna chat
 płoną wśród białych śniegów,
 nie widać kształtów — tylko blask
 w grudniową noc wybiega.

W nawiesiach sadów gubią się
 kominy, dachy, ściany —
 a w mroku miga okien kwiat
 kolędą rozśpiewany.

Kolędy płyną. Okiść drzy,
 głowy podnoszą świerki.
 Północ się zbliża, gwiazdny czas,
 czas białej mszy, pasterki.

Na śnieżnej drodze cieni sznur,
 latarek błysk migoce —
 Śpieszą się ludzie — Miłość — Bóg
 narodzi się tej nocy.

Poprzez kościelny szary próg
 snop światła w mrok się wlewa,
 grają organy, śpiewa lud
 i każde serce śpiewa.

W bieli ornatu złote skry
 i ołtarz tonie w bieli,
 Najświętszej Hostii biały krąg
 i skrzydeł szum anielich.

Bóg się narodził, z nami jest,
 na ziemię zeszedł biedną —
 i wielka Miłość przyszła z Nim,
 bo Bóg i Miłość — Jedno.

M. Czerkawska

WIERCIPIĘTA PROFESOR I PLACEK

ROZDZIAŁ IX.

*O wigilii w lesie, wójtowej córce i sercu
 macochy.*

Pan Rogowski, który woził codzien-
 nie swoje produkty do miasta pół-cięża-
 rowym samochodem, zabrał ze sobą
 chłopców. Miasto nazywało się Siedlce.
 Tam musieli pożegnać się z panem Ro-
 gowskim i dalej posuwać się znowu tyl-
 ko na „samonogochodach” — jak to na-
 zwał „Wiercapięta”.

Na szczęście pogoda utrzymywała się
 sucha i po szosie można było maszero-
 wać szybko. Trzeciego dnia weszli
 w okolice bardziej nizinne, lesiste, cho-
 ciał równie obfite w piaski.

— To już Mazowsze — musiał natu-
 ralnie popisać się Karol.

Janek podniósł nagle głowę i spytał:

— Słuchajcie-no, a którego to dziś?

— Którego? — zastanawiali się
 wszyscy i zaczęli obliczać.

— Zdaje się, że 23 grudnia — po-
 wiedział wreszcie Paweł.

— Czyli wigilia Wigilii! — zawołał Karol.

— Właśnie — przytwierdził Jacek.

Chłopcy zamilkli na chwilę, ale widocznie myśleli o tym samym, bo prawie jednocześnie otworzyli usta, aby coś powiedzieć. Pierwszy odważył się Paweł:

— Myślę, że wszyscy myślimy, iż warto by pomyśleć... — i naraz zająknął się w tym pięknym zdaniu.

Mimo to wszyscy go zrozumieli, bo Karol dodał:

— Właśnie. Warto by napisać do domu z życzeniami. Ja co prawda mogę napisać tylko do ciotki, ale i ona była dość poczciwa w stosunku do mnie... Co się zaś tyczy moich małych ciotecznych braci i sióstr, to mogę nawet powiedzieć, że czułem do nich duże przywiązanie.

— Może za mało dawaliśmy znać o sobie do domu — rozważał Paweł. — Ja dotąd wysłałem tylko dwie pocztówki...

— Ja jedną — mruknął Jacek.

— Zatem postanowione! — zakończył Paweł. — Wysyłamy kartki do domu. A tymczasem...

— A tymczasem będzie burza śniegowa — wpadł mu w słowo Jacek rezjeczawszy się pó niebie.

Rzeczywiście ściemniło się tak szybko, jakby już zapadała noc. Zwały chmur o żółtawym odcieniu zasnuły całe niebo i powiał silny wiatr.

— Nawet już jest — powiedział zgryźliwie Paweł, zapinając się szczerzej.

— Pierwszy śnieg — stwierdził Karol.

Tymczasem zaczęły wolno spadać pierwsze, grube płatki śniegu. Wiatr na chwilę ucichł i w tej ciszy duże gwiazd-



ki i piórka opadały dziwnie uroczyście. Ale już za chwilę płatki stały się gęściejsze i mniejsze, a gdy obudził się na nowo wiatr, zaczęły nawet ostro zacinąć w twarze. W pewnej chwili Karol zatrzymał się.

— Co się stało? — zapytał zniecierpliwiony Paweł.

— Nie słyszeliście?

— Nie.

— Coś jakby płacz dziecka... — mówił niepewnie Karol.

— E-e, przywidziało ci się — mruzczał kwaśno Paweł. — Skąd by się tu wzięło dziecko?...

Naraz do uszu chłopców dobiegł dziecinnie głos:

— Mamo! — i rozległo się łkanie.

— A co? Miałem rację! — zawołał Karol i pobiegł w kierunku głosu.

Paweł i Jacek pośpieszyli za nim.



Nie łatwo było dojrzeć cokolwiek w białej kurzawie, ale wreszcie dobiegli do niewielkiej kotlinki, gdzie wiatr i śnieg mniej dawały się we znaki i tu zobaczyli scenę, która rozśmieszyła ich tak, że wybuchnęliby śmiechem, gdyby... gdyby jednocześnie nie schwyciło ich coś za gardło. Bo na wielkim, rozśnieżonym polu grzebała się mała figurka w czerwonej chusteczce na głowie, zdążając w stronę lasu. Popłakiwała sobie na głos, ale szła bez przerwy, oddalając się od szosy.

— Czekał no, mała! Gdzie idziesz? — wrzasnął na cały głos Paweł, starając się przekrzyknąć świst wiatru.

Małeństwo przestraszyło się i zaczęło uciekać niezdarnie, płacząc coraz głośniej. Wtedy Karol odsunął Pawła z niecierpliwością.



Z GWIAZDA

Mal. W. Boratyński

— E, nie umiesz wcale mówić do dzieci!

Sam wysunął się teraz naprzód i zapytał:

— Jak ci na imię? Bo mnie — Karol.

Dziewczynka zatrzymała się, zastanowiła się chwilę, a potem powtórzyła:

— Karol...

— Tak, Karol — cierpliwie ciągnął „Profesor”. — A ty jak się nazywasz?

— Maisia — hąknęła wreszcie mała i chlipnęła sobie.

— A dokąd ty idziesz, Marysiu? — pytał Karol zbliżywszy się nieznacznie i kucnąwszy naprzeciw dziewczynki.

— Do lasu — z powagą powiedziała Marysia i westchnęła ciężko.

— Do lasu? — zdziwił się Karol. — A pocóż do lasu?

— Po Boże drzewko...

— Po Boże drzewko? Po choinkę, tak?

— Uhm!... — dziewczynka kiwnęła głową.

— A czyż do domu nie przyniosą ci choinki? — dopytywał się Karol.

Mała energicznie potrząsnęła główką:

— Nie... Jakby ja byłam z mamusią, toby miałam choinkę... Ale ja mam drugą mamusię, co powiedziała: chcesz choinki — idź sobie do lasu...

Karol prędko przełknął ślinę, która mu przeskadzała w gardle i powiedział:

— Ale do lasu nie możesz iść sama: zabłądzisz albo zmarzniesz... Chodź, zabieramy cię do domu.

— A choinka? — przypomniała mała.

W tej chwili śnieg zaczął ustawać i odsłoniły się małe świerczki



MADONNA

Mal. Rafael

zagajnika, obsypane błyszczącym puchem. Szczególnie pięknie wyglądało jedno drzewko, stojące nieco osobno, najbliżej rozmawiających. Karolowi coś przyszło do głowy:

— O, patrz! — powiedział. — Już znaleźliśmy choinkę. I jak ładnie ubrana!...

— A czerwonego nie ma!... — dopominała się mała.

— Jakiego znowu „czerwonego” — zdziwił się Karol.

— Na choince zawsze jest czerwone! — powiedziała z powagą mała.

— Słuchaj no, „Wiercipięta”! — niepewnie odezwał się Karol. — Może tam znajdziesz coś czerwonego w twojej roboczej szkatule?

— No, mam trochę kolorowych szybek, co mi zostały od wprawiania w jednym ganku, ale... — mruczał Paweł.

Wkrótce chłopcy wieszali już na choince kolorowe szybki i jakieś stałowe łańcuszki, ale kiedy Marysia zaczęła klaskać w ręce i skakać z radości, rozchmurzyli się i przykucała koło niej.

— Ładne? — pytali jej co chwila.

— Ładne, ładne! — wołała Marysia i podskakiwała wesoło.

Naraz rozległ się nad nimi gruby głos:

— A mam was, hultaje, urwisy, łobuzy, panie dziejku!

Karol podniósł się pierwszy i zasłonił sobą Marysię.

— Sądzę — powiedział poważnie —

że pan nie do nas zwraca się w ten sposób?

— Właśnie, że do was, łobuzy! — zahuczał tęgi człowiek w kożusku. — Chcieliście świerka ściąć na święta?!

— Z czego pan to wnosi? — spokojnie spytał Karol.

— Jak to z czego? Jużście go sobie ubrali, panie dziejku!

— Gdybyśmy go mieli zamiar ściąć, to ubieralibyśmy go w domu. Nie sądzi pan? — trochę drwiąco rzucił Karol.

— Gdybyście... Aha! — zaciął się ów człowiek. — A po cóż ubieraliście go w te faramuszki?

Teraz wmieszał się do rozmowy Paweł.

— Dzieciństwo, oczywiście — powiedział czerwieniąc się lekko — ale tej małej macocha nie chciała sprawić choinki, więc smarkata poszła do lasu... Byłaby zabłądziła albo zmarła... Więc my, żeby ją zabawić... No i żeby na próżno nie szła do lasu...

— A któż wy jesteście? — zdziwionym głosem powiedział obcy.

— Zarabiamy ostrzeniem, lutowaniem i wetawianiem szyb — powiedział Jacek i z przyzwyczajenia dodał: — Może pan ma jaką robotę dla nas?

Człowiek mileżał przez chwilę, a potem naraz huknął:

— Owszem, mam robotę, panie dziejku! Musicie mi naostrzyć dobrze scyzoryk, bo inaczej nie będę mógł ściąć tego świerka.

Chłopcy wzięli się do roboty, a on przysiadł koło dziewczynki.

Po chwili klasnął się dłonią po czoło:

— Ot, gapa ze mnie! Toż to, córka sołtysa Pierzchały z Sosnowic!

— To świetnie się składa! — zawołał Karol. — Zatem będziemy ją mogli odstawić do domu.

— No, to bierzmy się do świerka! — zakończył jowialnie jegomość.

Świerczek został gładko, choć nie bez trudu ścięty i załadowany na wózek, a Marysia... pojechała „konno” na Jaku. Mimo zwiększonego ciężaru lekko szło się teraz chłopcom, ale było już całkiem ciemno, gdy dobrnęli do owych Sosnowic.

Przeszli już tak z połowę wsi, gdy naraz usłyszeli wielki hałas przed jedną z chat, a wkrótce zobaczyli gromadę ludzi, którzy przyglądali się jakiemuś zdarzeniu.

— Długom cierpiał, ale teraz mam tego dosyć! — wołał głos męski.

— Tatuś! — szepnęła Marysia i chłopcy zatrzymali się.

Karol przepchał się przez gromadę ludzi i stanawszy przed gankiem spytał grzecznie:

— Przepraszam, czy to pan sołtys Pierzchała?...

Chudy i zgarbiony człowiek odwrócił się powoli w jego stronę i spytał podejrzliwie:

— A bo co?

— Znaleźliśmy córkę pana, Marysię, — powiedział uroczyście Karol i szerokim ruchem ręki pokazał za siebie.

W tej chwili Marysia zawołała z grzbietu Jacka:

— Tato!

— Córkuś! — zawołał sołtys i porwał ją w ramiona.

— Chwała Bogu, że się znalazła dziewczyna — westchnęła kobieta, tuląca się w róg ganku.

Wtedy dopiero sołtys przypomniał sobie o chłopcach i postawiwszy Marysię na ziemi odezwał się uprzejmie:

— Bóg wam zapłać, chłopaki. Zajdźcież też do chaty, ho to noc.

— Bardzo dziękujemy, ale mamy tu jeszcze wózek i choinkę dla Marysi — odezwał się Paweł.

— Choinkę? — zdziwił się sołtys. — Wycięliście?

— Nie, wyciął nam taki gruby pan w kożusku — odpowiedział Paweł.

— To chyba będzie Malinowski... No, no! — dziwił się sołtys.

A zwracając się do żony dorzucił:

— Widzisz, kobieto, to obcy ludzie mają litość nad biedactwem, a ty...

— Już mi nic nie gadaj, Jędrus! — chlupnęła kobieta. — Dość zem się strachu najadła, że dziewczyna zabłądzi i umarznie... I takim se ślub zrobiła, że jak się znajdzie...



ZIMA

Mal. J. Rapacki

— No, no! Dałby Bóg! — westchnął Pierzchała.

A do chłopców:

— No, skoro trafiliście do nas tak przed samymi świętami Bożego Narodzenia, to już i ostańcie u nas na święta.

— Bardzo dziękujemy! — zamruczeli chórem.

Już od razu pierwszego dnia chłopcy czuli się u sołtysa Pierzchały, jak u siebie w domu. Gospodarze patrzyli z początku trochę podejrzliwie na ich gospodarowanie, ale gdy „trójka” naostrzyła im wszystkie siekiery i noże, wprawiła wszędzie, gdzie było trzeba, szyby, a wreszcie wyczyściła i posprzątała wszystkie kąty, sołtys aż pokręcił głową:

— Napracowaliście się, co? — spytał wieczorem przy wieczerzy.

— To drobnostka — odpowiedział Karol. — Teraz dopiero weźmiemy się do głównej pracy — dodał tajemniczo.

— A cóż to takiego będzie?

— Musimy, rozumie pan, choinkę dla Marysi ubrać — szepnął Karol.

— Bóg wam zapłać! Bóg zapłać! — mruczał gospodarz. — Tylko, że na różne tam te pierniki albo cacka to mnie nie stać...

— Niech się pan o nic nie troszczy — podniósł rękę Karol. — My wszystko zrobimy „we własnym zakresie”.

Ale z tym „własnym zakresem” nie było tak łatwo: przede wszystkim potrzebny był kolorowy papier, a następnie skorupki z wydmuchanych jajek. Z papierem było łatwiej: można go było dostać w sklepiku wiejskim, ale o jajka trzeba było uśmiechnąć się do gospodyni, a chłopcy jej nie bardzo lubili.

— Nie mam ochoty z nią gadać — mruknął Paweł. — Prawdziwa macocha.

— No, to ja pójdę — obojętnie powiedział Jacek.

Długo go nie było, ale wrócił z całym koszem jaj.

— Tyle dała? — zdziwił się Karol.

— Nie jest ona taka zła — powoli mówił Jacek. — Tylko jej umarła niedawno własna córka. Obie były chore



Z „KOZA”

Mal. W. Boratyński

na krup: Weronka — ta jej córka i Marysia. Więc kiedy jej córka umarła, a Marysia wyzdrowiała — ona nabrała do Marysi żalu... ale teraz, jak myśleli, że mała zginęła, — opowiadał dalej Jacek — ona tak się o nią bała jak o rodzoną i wtedy zrozumiała, że przecież ją kocha...

— No, no! — mruzczał Karol.

— I ona ci to wszystko opowiedziała? — dziwił się Paweł.

— Nawet płakała! — odpowiedział Jacek. — A potem dała mi chleba z miodem...

— Ha, ha, ha! — zaśmiali się chłopcy. — Wiadomo, że Jacuś-Placuś przy każdej okazji się pożywi...

— Zaraz „pożywi” — obraził się

trochę Jacek. — Kromka była zupełnie niewielka...

Paweł i Karolek zaśmiali się z żalostnej miny Jacka, ale wreszcie trzeba było spoważnieć i wiać się do roboty. Było jej sporo: pociąć papier na paski do łańcucha, okleić jajka i zrobić z nich różne dzbanuszki, ptaszki i twarze, pozłocić szyszki, porobić lichtarzyki z drutu... Słowem — moc roboty!

Wreszcie choinka stała w całym blasku i doprawdy było na co popatrzeć. Chłopcy sami się zachwycili i obchodzili ją na wszystkie strony, ciągle coś poprawiając.

Naraz Paweł uderzył się w czoło:

— Przecież trzeba Marysi jakiś prezent przygotować!

— A prawda! — zmartwił się Karol.

— No, to zrobimy jej lalkę — powiedział Paweł.

— Zrobimy? Jak? — zdziwili się chłopcy. —

Łatwo powiedzieć — zrobimy, ale z czego zrobimy?

— Niewielka sztuka! — nadał się dumnie Paweł. — Głowę zrobię ja... z kitu. A Jacek robi korpus z drzewa, a Karol ją ubierze w sukienki...

I trójka zabrała się do nowej roboty. Czas im schodził tak szybko, że zapomnieli nawet o głodzie. A właściwie nie wszyscy: kiedy lalka została już usadowiona pod choinką, Jacek jęknął:

— Przecież to już pora obiadowa dawno minęła!

W tej chwili w sieni coś zaszurało i do izby wszedł sołtys z Marysią:

— No, są już pierwsze gwiazdy! — zawołał od progu. — Dawaj jeść, stara!

— Zaraz, zaraz! — odezwała się



Mal. Bart. Est. Murillo

437

sołtysina. — Tymczasem nakrylibyście do stołu...

— A no, to trzeba przynieść siana! — powiedział Pierzchała. — Na wilię zawsze kładzie się siano pod obrus. A w kącie izby stawia się snopek. Siano na pamiątkę, że Pan Jezus urodził się w stajence, a snopek — na urodzaj.

— A opłatek połóżcie na talerzu! — przypominała gospodyni.

— No, pewnie, pewnie! Tego przecie nie zapomnę. Opłatek to na wili! najważniejsza rzecz — mruzczał sołtys.

— A choinka? — przypomniała Marysia.

— Tak, tak, i choinka, córuchno! — uśmiechnął się ojciec.

— Ale choinka dopiero po wieczery! — zastrzegł się Karol.

— Oczywiście! Tymczasem zasłonimy ją prześcieradłem — podtrzymał go Paweł.

Wreszcie wszystko było urządzone i nakryte. Sołtysina zdjęła fartuch, wzięła opłatek do ręki i podeszła do męża. Chciała coś powiedzieć, ale głos się jej załamał i wyjąkała tylko:

— Życzmy se, Jędrus... zgody i miłości... żeby zawsze...

— No, już dobrze, dobrze, Jagna — mruzczał pod wąsem stary i chrząknął głośno.

Potem sołtysina podeszła do Marysi i chlipnąwszy, powiedziała:

— Życzę ci, Maryś, żebyś była zawdy zdrowa i wyrosła na ładną, robotną dziewczuchę.

Gospodarze życzyli chłopcom, żeby zarobili sobie na samochód, a chłopcy życzyli nawzajem gospodarzom, żeby ich chata zmieniała się w pałac.

— Teraz trza iść z opłatkiem do bydła! — powiedział sołtys i wszyscy wybrali się razem do obórki.

Sołtys dał opłatek Siwkowi i Gniademmu, gospodyni — Łaciatej i Krasuli, a Marysia cielątku, które nazwała „Kręciołek”.

Po powrocie do izby wszyscy zasiędlili do wieczery.

Gospodyni postawiła przed każdym talerz, pełen barszczu i łyżkę cynową, a na środku stołu miskę pierożków z grzybami.

Po barszczu przyszła ryba z ziemniakami, a na zakończenie kluski z makiem. Świetna była wieczera!

Jeszcze wszyscy dojadali ostatki, kiedy Karol skulił się i dał nurka pod prześcieradło, zasłaniające kąt izby. Po chwili za prześcieradłem zaczęło coś błyszczeć i dał się słyszeć szept Karola:

— Gotowe!

Wtedy Paweł i Jacek odsłonili prześcieradło jak kurtynę w teatrze i stanęli dumnie z dwóch stron. Az im serca urosły, gdy usłyszeli przeciągłe „aaa”! nie tylko z ust Marysi, ale i jej rodziców.

— Choinka! Choinka! — wołała Marysia podskakując. — I „czerwonego” na niej tyle! To dla Maisi?

— Tak, to wszystko dla Marysi! — potwierdzili stanowczo chłopcy.

— I jeszcze coś jest dla Marysi — dodał Karol.

— Zobacz-no tam, pod choinką — niby obojętnym tonem powiedział Paweł.

— Lala! — krzyknęła na cały dom Marysia przyciskając do piersi zmagstrowaną przez chłopców lalkę.

— Ale i wy stąd nie wyjdziecie z gołymi rękami! — wyprostował się sołtys i otworzył zieloną skrzynię, stojącą pod oknem.

— Dla ciebie będzie ta czapa! — mówił do Karola, podając mu barankową czapkę. — Kiedyś żem ją sobie kupił, ale pokazało się, że jest mała na mnie... A może od czasu, jakem został sołtysiem, tak mi głowa urosła?

Tu sołtys zaśmiał się wesoło, a za nim wszyscy.

— Dla ciebie mam mocny pas, pleciony z surowca — mówił dalej Pierzchała do Pawła. — Samem go upłół.

— A dla ciebie... — zwrócił się do Jacka. — Hm, cóżbym tu ja znalazł dla ciebie?...

— Jemu ja dam ciepłe rękawice — zawołała sołtysina.

Marysia dostała od macochy wełniane, czerwony szalik, którym mogła się dwa razy okręcić na krzyż, a od ojca — cukierków. Lalkę jednak dziewczynka stawiała na pierwszym miejscu.

Powiedziała:

— Będzie się nazywała Weronisia, jak ta moja siostrzyczka, co poszła do nieba.

— Mojaś ty, dziewczuszko pocziwa! — zawołała soltysina i uściskała Marysię.

Po chwili cała gromada wyszła z chaty soltysa i udała się w stronę kościoła.

Obfity, miękki śnieg pokrył drzewa, domy i płoty białymi czapami i skrzył się tysiącami gwiazdek. Dokoła była cisza, słyhać było tylko przytłumiony skrzyp śniegu pod nogami. Okienka chat błyskały przytulnie i ciepło, a odbłask ich padał na śnieg.

Po chwili rozległ się daleki głos dzwonu i ludzie coraz liczniej zaczęli wychodzić z chat. Witali się wzajemnie słowem Bożym i w coraz liczniejszej gromadzie szli w kierunku głosu dzwonów.

A gdy w oświetlonym rzęsiście kościele organy zagrzały: „Bóg się rodzi, moc truchleje!”, naród zaśpiewał kolędę.

Marysi najlepiej się podobało, gdy na chórze powtarzali: „Gloria, gloria in excelsis Deo”, choć nie rozumiała, co to znaczy. Powtarzała tylko — „Gloria, gloria” i klaskała w rączki.

Karol jednak poczuł się w obowiązku wyjaśnić jej:

— Słowa te znaczą: „Chwała Bogu na wysokościach, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli” — powiedział.



— Dobrej woli — powtórzył w za myśleniu soltys. — Piękne słowa! Żeby było więcej dobrej woli na świecie, lżej by się ludziom żyło. A już w ten święty dzień Narodzenia Bożego każdy powinien serce swoje otworzyć...

Wracali do domu w nabożnym milczeniu, a po prawdzie to już i senni troszkę. Marysia zaś spała od dawna na rękach ojca.

c. d. n.

Jerzy Ostrowski





Mal. W. Tetmajer

POKÓJ NA PODDASZU

CHOINKA

Adaś nie wiedział, co to jest tydzień. — To od niedzieli do niedzieli — wytłumaczyła mu Zosia. Ale to nie wiele pomogło. Było tak, jak z bżem. Adaś codziennie czekał, że to właśnie już jutro będzie choinka.

— Tyle tych tygodniów, tyle, i wcale nie ubywa! — gniewał się. — A można choinki zrobić już?

— Nie można. To dopiero na Boże Narodzenie — powiedziała Anka i spochmurniała. W zeszłym roku mieli choinkę, i była wilia, i matka upiekła nawet placek z powidłami na święta. Ale co będzie teraz? Z wielkim trudem, przy oszczędnym gospodarowaniu Zosi ledwo starczyło. A małemu braciszkowi

tak strasznie chciało się choinki, i świąt, i wszystkiego, co sobie zapamiętał z poprzedniego roku! Nie miała mu serca mówić, że pewnie trzeba się będzie tego wyrzec.

— Gieniek powiedział, że oni będą mieli choinkę aż do sufitu. A Stefcia robi w szkole taką gwiazdę, całą ze złota. Powiedziała, że ją powiesi na samym wierzchołku, ale ona nie będzie miała takiego dużego drzewka, ona nie chce. Powiedziała, że woli takie malutkie.

Anka nie odezwała się. W sobotę, kiedy wychodziła do pracy, śpiący jeszcze zwykle o tej porze Adaś usiadł na łóżku.

— Anka!

— Co? Śpij jeszcze, śpij, wcześniej jest!



POKŁON PASTERZY

Mal. H. v. der Goes

— Anka! Ty mi nie kupuj już cukierków! Wiesz?

Anka zdziwiła się. Co się stało małemu łakomczuchowi? Zawsze tak czekał na sobotę, kiedy dostanie torebkę miętówek.

— Ty mi daj te pieniądze, co na cukierki, daj mnie! dobrze? Anka?

— Po co ci pieniądze?

— Ja ci teraz nie powiem. To będzie niespodzianka. Ale mi je dasz?

— Dam, dam — uspokoiła go. I po południu dwudziestogroszówka znalazła się w ręce Adasia.

— Nie powiesz mi, po co ci to?

— Nie. Teraz powiem tylko Zosi, bo bez niej nie można. A potem to i ty zobaczysz. Ale to jest straszna niespodzianka, to nie mogę!

Anka nie dopytywała się więcej. A w poniedziałek Adaś z Zosią powędrowali do sklepu.

Położono przed nimi na ladzie cały stos bibułek. Adaś aż drżał ze wzruszenia, dotykając tych tęczywanych cudów.

— Ta, ta! Popatrz, jaka ładna!

— Obejrzyj najpierw wszystkie, to wybierzemy — doradzała Zosia, bo bracieczek wpadał w zachwyt na widok każdego arkusika i każdy chciał kupić.

— Czerwoną trzeba wziąć koniecznie.

— A ta zielona?

— E, lepiej nie. Za ciemna. Nie będzie widać na drzewku.

— Ta różowa...

— Dobrze. I żółta, i niebieska.

— O, jeszcze ta! To jaka jest?

— Pomarańczowa. No, to już dosyć.

Aha, jeszcze biała!

— I jeszcze jaka?



Z GWIAZDĄ

Mal. W. Tetmajer

— Już nam nie wystarczy pieniędzy, Adasiu. Bibułki są po trzy grosze — zostało nam jeszcze tylko dwa.

Sklepowa za te dwa grosze dodała kilka złotych, papierowych gwiazdek. Adaś podskakiwał z uciechy.

— Chodź prędko, prędko! I będziemy robić, ale Ance pamiętaj, nie mów nie! To ma być niespodzianka!

Zabrali się zaraz w domu do roboty. To znaczy — zabrała się Zosia, a Adaś w przesadzonej gorliwości nieustannie przeszkadzał.

— Dlaczego tak krąjesz?

— Tak trzeba. To będzie łańcuch.

— Czerwony? To już nic nam nie zostanie czerwonego.

— Nie cały czerwony! Popatrz, to będą takie kawałki, każdy inny.

— Ale skleisz?

— Pewnie! Zaraz zagotuję kłajstru.

— I co jeszcze zrobimy?



POKLON PASTERZY

Mal. J. Jordaens

— A krzyże umiałbyś dopasować?

— Czemu nie? W domu przecież wszystko robię.

— Bo ja mam rękę odmrożoną, to mi ciężko. A Wicek chory, nie pomoże. To bym ci parę groszy dał — dużo nie, bo co to na tych drzewkach za zarobek — no, i jakbyś chciał, to dla siebie drzewko wybierzesz.

Ignas ucieszył się. To było lepsze niż odnośnienie drzewek, na które czekali tamci chłopcy, którzy pewnie chcieli sobie zarobić na kawałek chleba. A on sam był przecież syty — lepiej, że im nie będzie odbierał zarobku.

Do świąt było jeszcze jakiś tydzień. Odrazu po obiedzie Ignas każdego dnia biegł na plac. Ociosywał krzyże, wsta-

wiał w nie drzewka, dopasowywał. Czasem i odniósł drzewko — i wtedy zarobek powiększał się. Pomagał wieczorem zwijać stragany i od przekupek też coś za to dostawał. Cierpiała na tym trochę szkoła, ale Ignas pocieszał się, że to przecież nie potrwa długo — po świątach wszystko nadrobi.

Adasiowi przyniósł arkusz srebrnego papieru, który mu ofiarowała któraś z przekupek, i Zosia wylepiła wielką gwiazdę na szczyt.

— Taka, jak ma Stefcia! — cieszył się Adaś. A Ignas konferował cicho z Zosią. Adasia do tego nie dopuszczali.

Anka dziwiła się, że żadne z rodzeństwa nie mówi jakoś o zbliżających się świątach. Cała ta sprawa martwiła ją bardzo, ale cóż miała zrobić? W zeszłym roku — tak, w zeszłym roku było co innego. Ale teraz trzeba było powiedzieć, że wtedy, kiedy w innych poko-

jach zabłysną świeczki na choince, a rodziny zasiądą przy stole — u nich ten wieczór nie będzie się różnił od innych wieczorów.

Dziwiło ją, że Adaś już nie liczy tygodni i dni, że Zosia jest jakby stale zaferowana, a Ignasia nigdy nie ma w domu. Ale nie miała czasu długo o tym myśleć. Zaziębiła się trochę — lekki, wytarty płaszczyk nie chronił wystarczająco od jesiennych chłódów, i czuła się źle. Przeważnie więc po przyjściu z fabryki kładła się odrazu spać.

W dzień wili jakoś wszyscy zbudzili się wcześniej, nawet Adaś był na nogach, kiedy wychodziła.

— Dziś wróce wcześniej — powie-

działa. — Pracujemy tylko do dwunastej. Potem musimy pomóc piekarskiej, bo prosiła.

Młodsze rodzeństwo spojrzało na siebie znacząco, ale Anka tego nie zauważyła.

— Choć opłatek kupię, żeby było jak w wilię — powiedziała wychodząc, i szybko zamknęła za sobą drzwi, bo była pewna, że teraz Adaś rozplącze się. A jakże go miałaby pocieszać?

W pokoiku tymczasem zawrzało.

— Adaś! pomożesz mi sprzątać! Ignaś, ty mi daj te pieniądze, to wszystko kupię. Ty zaraz wychodzisz?

— Tak. Dziś będzie największy ruch, da się jeszcze coś zarobić.

— I choinkę przyniesiesz? — niepokoił się Adaś.

— Przyniosę, przyniosę! Już wybrałem i odstawiłem wczoraj na bok.

Nacisnął czapkę i poleciał na dół, aż zadudniły schody.

— Teraz posprzątamy, a potem pojedę do sklepu.

— Ze mną?

— Nie. Taki wszędzie musi być ścisak, że cię tylko zgniotą. Raz-dwa ku-

pię i przyniosę. A ty nigdzie nie wychodź.

— To ja jeszcze poprzyklepiam na parasolkach te gwiazdki.

— Dobrze, kłajster jest tam w garnuszku.

Ale wszystkie gwiazdki dawno już były przyklepione, nim wróciła obładowana Zosia.

— Coś kupiła? Coś kupiła?

— Dużo rzeczy. Zaraz rozpakujemy.

— Ojoj, co tak pachnie?

— Śledzie.

— To śledzie będą?

— A jakże. Nalej wody do miseczki, bo je trzeba wymoczyć.

— I co będzie jeszcze?

— Śledzie smażone, i kapusta z grzybami, i kluski z makiem.

— A mak masz?

— Pewnie, że mam. Wszystkiego po troszkę, ale będzie prawdziwa wilia, tak jak w zeszłym roku.

— A pani Kalinowska będzie u nas?

— Nie. To nie wiesz, że wrócił ten syn, co to był w Ameryce, i zabrał ją do siebie?

— Tak? Toście o tym mówiły wczoraj z Anką? A jak to było?



— Trzeba było słuchać, tobyś wiedział. A teraz daj tamten garnek, bo muszę utrzeć mak.

— A czym?

— Walkiem od ciasta.

Robota wrzała. Koło jedenastej wpadł na chwilę Ignas. Na ramieniu niósł małą, ale gęstą, zieloniutką choinkę. Adaś aż zapiszczał z radości.

— A tu macie świeczki. Dziesięć! Jak przyjdę, to przymocuję drucikami do gałązek.

Świeczki były kręcone, kolorowe.

— Wiesz, Zocha, to my będziemy mieli prawdziwe święta!

— A pewnie, że prawdziwe! Może nie? Weź ścierkę i wytrzyj stół, cała cetrata brudna.

— Żeby tylko Anka nie przyszła za wcześniej!

— Nie przyjdzie, nie bój się. Ja już prosiłam piekarsową, żeby ją zatrzymała dłużej.

Wesoło trzaskał ogień w piecu, perkotała kapusta, smakowity zapach grzybów rozchodził się po całym pokoju, kiedy na schodach rozległy się kroki.

— To Anka!

Zosia wybiegła na schody.

— Anka, Aneczka, my cię tak strasznie prosimy, nie przychodź jeszcze do domu! Idź zaraz do pani piekarsowej!

— Dobrze, tylko chciałam trochę odpocząć.

— Złota, kochana, jedyna, to ty tam sobie odpocznij! Teraz nie można! Ja cię tak strasznie proszę!

— Bo się cała niespodzianka popsuje! — zapiszczał Adaś i Anka chcąc nie chcąc zawróciła.

— Co to może być? — zastanawiała się. — Pewnie Zosia zrobiła jakiś wystawny obiad — ale z czego? Przecież nie zostawiłam jej więcej pieniędzy niż zwykle...

Ona też sprawiła rodzeństwu niespodziankę — kupiła cukierków i pierników, choć miała wyrzuty sumienia, że nie wystarczy potem na następny tydzień na życie. Ale przecież były to święta...

Zapadał mrok, kiedy Ignas zapukał

do mieszkania piekarsowej, gdzie Anka kończyła porządky.

— Anka! Chodź!

Piekarsowa podziękowała Ance i dała jej wielką, złocistą struclę.

— Będziecie mieli na święta — powiedziała.

Anka ucieszona szła po schodach. Ignas miał ogromnie tajemniczą minę.

— Co wy tam wyrabiacie? — spytała go.

— Nic.

— Jakto nic? A czemu mnie nie chcieliście wpuścić do mieszkania?

Ignas nie odpowiedział, bo już byli na miejscu. Drzwi otwarły się szeroko. Anka stanęła jak wryta w progu. Na komodzie stała choinka, pięknie przybrana kolorowymi łańcuchami. Stół wysunięty był na środek pokoju. Na półmisku leżały dwa smażone śledzie.

— Co to?

— Wilia! Wilia! Wilia! — wrzeszczał Adaś podskakując radośnie. — Prawdziwa wilia!

I była prawdziwa wilia. I prawdziwe prezenty — szalik dla Anki, chusteczka dla Zosi i pończochy dla Adasia.

— Tylko Ignas nie dostał nic — martwiła się Zosia.

Ale Ignas się tylko śmiał. Zapalił świeczki na choince i w małym pokoiku na poddaszu zabrzmiały dźwięki wesołej kolędy.

«Przybieżeli do Betleem pasterze przygrywając Dzieciąteczku na lirze!»

Był to naprawdę najweselszy dzień w pokoiku na poddaszu — najweselszy ze wszystkich dni, jakie przeżyli od śmierci matki. Teraz jakby zapomnieli o swoim sieroctwie, o wszystkich troskach i trudach. Skwierczały świeczki, chrupały w zębach pierniki, ogień palił się w piecu, było tak przytulnie i miło!

— Mamy prawdziwe święta! — powiedział Adaś i dał kotkowi-przybłędzie kawałek smażonego śledzia. Niech i on wie, że jest wilia!

c. d. n.

Wanda Wasilewska



GOSPODYNI:

Uprzątnijcie ławy,
stołki poprzynoście,
z dalekiej krainy
idą do nas goście.

CHÓR:

Uprzątnijcie izbę,
uprzątnijcie ławy,
podeprzyjcie w kącie
i ten stół kulawy.
Idą oto, idą
w blaskach złotych zórz
z dalekiej krainy,
któż to taki? Któż?

GOSPODYNI:

Patrzcie! Jasna gwiazda!
Może ona powie?

GWIAZDA:

Do żłóbka w stajence
idą Trzej Królowie.

CHÓR:

Dziwne, dziwne wieści
gwiazda dzisiaj prawi,
a któż jest w stajence?

GWIAZDA:

Bóg, co świat wybawi.
Z różanych rąk Dziecka
po całej krainie
Miłosierdzie wielkie,
Miłość wielka apłynie.

CHÓR:

Dziwne, niezbadane
Miłosierdzia dzieło.
Nieśmy Bogu chwałę...

CHÓR ANIOŁÓW:

Gloria in excelsis Deo...

GOSPODYNI:

Uprzątnięta chata —
z pokłonem zaproście,
niech wejdą do izby
z dalekich stron goście.

CHÓR:

Witajcie!

KASPER (wchodzi):

Z dalekiej idę ziemi,
gdzie wiatr stepami hula,
powitać zrodzonego
w stajence Boga-Króla.
U żłóbka się poklonię
z pokorą i prostotą,
do świętych stópek złożę
z mej ziemi jasne złoto.

CHÓR (cicho, powoli):

Cenny dar swojej ziemi
u żłóbka dziś położę,
a cóż my zaniesiemy
do stóp Dzieciny Bożej?

(po chwili głośniej):

Władco dalekich krain,
co kruszec składasz cenny,
czy wiesz, jak złotem płonie?
A jeśli nasze pola
Dziecinę ujrzą Bożą,
to wszystkie złote kłosa
do stóp się Jej położą
i do stóp Jej się skłoni
łak naszych złote kwiecie
i przyjmie one skarby
tej ziemi Boże Dziecię.

MELCHIOR:

Za jasną idę gwiazdą,
do świętej zdążam szopy,
kadzidło złożę wonne
pod święte Dziecka stopy.

CHÓR (cicho, powoli):

Do świętej zdąża szopy,
z kryształu niesie czare,
kadzidel słodkie wonie
zaniesie na ofiarę.

(głośniej):

O królu, mądry królu,
czy wiesz, jak z naszej ziemi
kwiaty i drzewa biją
falami stuwonnemi?
Złóż w szopie i z pól naszych,
dalekich ziem dziedzicu,

woń naszej miodnej lipy,
kwitnących woń koniczków,
zapach tej chlebnej ziemi,
krajanej srebrnym pługiem,
woń drobnej macierzanki,
co rośnie wedle strugi.
I poprosz, władco ziemi,
o, poprosz Władcę Nieba,
by w chatach nam nie zbrakło
woni czarnego chleba.

BALTAZAR:

Krainę mą odległą
noc ciemnym skryła kirem,
w ślad jasnej gwiazdy biegnę,
żywiczną niosę mirrę.

CHÓR (cicho, powoli):

W dalekim obcym kraju
nad wielkim ludem władza,
do szopy biegnie lichej,
żywiczną mirrę składa.

(głośniej):

Władco dalekich ludów,
choć cenne twoje dary,
Bóg w złóbkę nie odrzuci
i naszych serc ofiary.

U stóp Dzieciątka-Boga,

co śpi w pastuszków kole,
składamy serca nasze,
składamy dobrą wolę.
Daleką od nas będzie
waśń, co dzieli i boli,
i gwiazdą nam zapłonie
czyn jasny z dobrej woli,
i w blasku dobrej woli,
co życie w krąg ozłaca,
obudzi się, rozdzwoni
wytrwała, dzielna praca.
U progów chat, warsztatów
Jezusek się pojawi
i pracujących małą
rączką pobłogosławi.
Pójdźmi dziś do szopy
do stóp Dzieciny Bożej,
niechaj na naszej pracy
Swe małe rączki złoży.
Pokłońmy się przed Światłem,
co z złóbka w świat błysnęło...

CHÓR ANIOŁÓW:

Gloria, gloria, gloria
in excelsis Deo.

Wanda Malicka



PRZYGODACH i IGRASZKACH WESOŁEGO PATAŁASZKA

Hen, po świecie Patałaszek
bują sobie niby ptaszek.
Zwiedził różne piękne kraje,
poznał różne obyczaje,
myśli więc: — Ej, widać po mnie,
że zmądrzałem już ogromnie.
Znam pustynie, morze, lasy
i tygrysy w piękne pasy.
Ludzi żółtych, czarnych tudzież.
A gdzie są czerwoni ludzie?
Patrzcie państwo! To jest myśl,
do nich pomknę choćby dziś!
No i macie: Szumią lasy,
w nich indyjskie lánia szafasy,
a przez stepów mkną przestrzenie

tu bawoły, tam jelenie.
Wielce ciekaw, wielce rad,
Fipek zwiedza nowy świat.
Raz w burzliwy chmurny czas
w dziki się zabłąkał las.
Wtem się zdziwił niesłychanie,
patrzy, a tu w krąg — Indianie!
W jednej chwili szast! i buch!
z tyłu krzycząc biegnie dwóch,
z przodu także dwóch czy trzech —
aż zataił biedak dech.
Dziwnie stroga ich figura.
Każdy strojny w wielkie pióra,
malowane krwawo lice
i potężną ma prawicę.



Tomahawkami robiąc szum
każdy dziko woła: brum!
Oto widzę bladą twarz!
Kiepsko z tobą, boś już nasz.
Jam wojownik — Wielki Wąż,
co skalpuje wrogów wciąż.
— A ja zaś Bawoli Nos.
Wnet cię spotka straszny los!
Fipcio na to
spojrzał w bok,



w tył i naprzód
zrobił krok.
— Teraz, bracie,
twoja kolej.
Pokaż, czy masz
w głowie olej.
Sprawa bowiem
nie jest łatwa.
Nawet rzekłbym,
że się gmatwa.
Zrobił minę pełną wdzięku,
jakby wcale nie czuł lęku.
Tamci wyją, gwizdzą, krzyczą,
a on mówi tak z słodyczą:
— Niech mnie słucha Wielki Wąż,
co skalpuje wrogów wciąż,
niech Bawoli słucha Nos,
jakiej treści jest mój głos.
Jam jest Fipcio,



mistrz nad mistrze,
dziwne czary
działam bystrze.
Jam jest Fipcio,
sławny magik,
wszelkie cuda
mogę sprawić.
Z mego zgonu — mówię śmieie
nie będzie korzyści wiele.
Bo za życie nieraz wam
jaką mądrą radę dam,
a po śmierci — pan daruje —
już wam nic nie obiecuję.
Gdy to usłyszeli wodze,

już nie patrzą więcej srodze,
 ba, klasnęli razem w dłoń
 i tak prędko mówią doń:
 — Tyś czarodziej?
 Wielkie nieba!
 Właśnie tego
 nam potrzeba.
 Chodź tu z nami prędko wać.
 Umiesz radzić? No to radź.
 Trudność gnębi
 nas niemala.
 Tu jest oto
 wielka skała.
 Gdybyś ją odwalić mógł!
 Bo pod skałą — święty łuk.
 A w wigwamie, w skór odzieży,
 ciężko chory wódz nasz leży.
 Gdy ten łuk dostanie wódz,
 to nie zdoła nikt go zmóc,
 wesół, hoży wstanie znów
 i stu lat dożyje zdrów.
 Lecz bez łuku — biada nam.
 Wyrok na nas wyda sam.
 Tu podskoczył Wielki Wąż,
 co skalpuje wrogów wciąż,
 krew nabiega mu do lic,
 głaz popycha — a głaz nic.
 Za nim biegł Bawoli Nos,
 głaz popycha w przód i w skos,
 krew nabiega mu do lic,
 a głaz nic, i nic, i nic.
 Potem trzeci leci zuch,
 potem jeszcze innych dwóch.
 Po kolei każdy szedł,
 lecz z rozpaczą wracał wnet.
 I krzyknęli wszyscy wraz:
 — Czarodzieju, ratuj nas!
 Fipcio na to
 kiwnął głową,
 uroczyste mówi słowo:
 — O, mężowie, ja łaskawie
 wielką prawdę wam wyjawię.
 Prawda to jest nad prawdami,
 zobaczycie zaraz sami.
 Zły to sposób, gdy ten głaz
 pcha osobno każdy z was.
 Lecz gdy razem, jak jesteście,
 wyteżycie siły — wreszcie



skała runie w dół spod nóg,
 zdobędziecie święty łuk!
 I na dany jego znak
 uczynili wszyscy tak.
 Głaz odleciał z hukiem precz,
 Fipcio mówi: — Zwykła rzecz.
 Lecz Indianie są w zachwycie.
 — Ocaliłeś nasze życie!
 Mocne słowo twe i gest,
 tyś czarodziej wielki jest!
 Więc, choć błada
 twoja twarz,
 choć tyś wróg
 odwieczny nasz,
 dzisiaj oto
 prosim szczerze:
 z dzielnym ludem
 wejdź w przymierze!
 Tu podskoczył Wielki Wąż
 i całuje Fipcia wciąż,
 a Bawoli srogi Nos
 z rozczulenia płacze w głos.
 Na pamiątkę tam mu dali
 tomahawki z pięknej stali,
 i z bawolich odzieży skór,
 i koronę z szumnych piór.

c. d. n.

Anna Świerszczyńska



mieszkać w mieście. Próbowala odwiedzić rodziców od tego zamiaru, ale nie udawało jej się zmienić ich postanowienia.

A tymczasem zbliżał się koniec wakacji i zaczęto już robić przygotowania do jej wyjazdu. Częściej więc niż kiedykolwiek wymykała się do Macurów i prowadziła z Hanką i z Jurkiem długie i tajne narady, ale nic jakoś nie mogli wymyślić.

Pewnego razu siedzieli tak we trójkę za stołką u Macury, a ze sirzechy kapały na nich ostatnie krople deszczu, który spadł przed chwileczką. Zza chmur wyglądało już słońce, a na niebie zakreśliła tęcza olbrzymi kolorowy łuk, którego jeden koniec ginął gdzieś przy stawach.

Właśnie skończyli mówić o tym, jakby tu Ewę uchronić od wyjazdu, i nic jeszcze nie uradzili, bo wszystko, co im przychodziło na myśl, było na nic. Teraz patrzyli w zadumie na tęczę.

— Pije wodę w stawach — powiedziała cicho Hanka i nagle poderwała się. — Jewuś, przypominasz se, co nom opowiadała o tęczy zielniorka Śliwkula?

— Pamiętam! — skinęła Ewa głową. — Mówiła, że jak kto zajdzie na kolanach do tego miesca, skąd pije wodę, to się mu spełni jego życzenie.

— Tak, tak mówiła! — potwierdziła Hanka, a po chwili dodała gorączkowo. — Ty, Jewuś, spróbuj iść na kłęczkach aż do stawów i myśl se o tym, żebyś nie pojechała do miasta, a isto nie pojeździesz! Przeca Śliwkula mówiła, że to jest nejswięt-

łe, to sobie także kupi kramik, i będzie z nim chodził po dziedzinach, i zarobi dużo pieniędzy.

Z niedowierzaniem patrzano tylko na jego twarz, na której nie było ani śladu wąsów i brody, a bez tego to już stanowczo nie było można wyobrazić sobie kramarza.

Ale Karel na także jeszcze inne plany i jeszcze się zastanowi, bo może pójdzie do cyrku za błazna albo jeszcze lepiej — będzie tam pokazywał rozmaite sztuki na koniach. Widział taki cyrک podczas swojego pobytu u „ujca” w mieście.

Wtedy już patrzono na niego z podziwem, bo dużo spośród nich takiego cyrku nie widziało. Prosiłi więc:

— Opowiedz nam o tym!

A Karol chętnie opowiadał, jak to tam są rozmaite „dziwoki” — zwierzęta i ludzie, którzy różne kunszta na linach i koniach pokazują.

Dziś słuchano go chętnie.

Jura jednak nie chciał pozostać w tyle za nim i twierdził, że go cyrک wcale nie zajmuje (nie widział go jeszcze nigdy), ale kataryniarzem to będzie z pewnością.

A z tym kataryniarzem to było tak. Do wsi oprócz kramarza przychodził czasami kulawy kataryniarz z katarynką. Radosć dzieci z tego powodu można było już tylko porównać z radością, jaka je ogarniała na widok głupiego Jana. Były to wielkie wydarzenia, niemal jakieś uroczystości, o których jeszcze później długo, długo mówiły. Bo obcy lu-

dzie w tej wiosce między górami pojawiali się rzadko, a swoich dzieci tak dobrze znali. „Lajerman” albo głupi Jano wędrowali po wsi w asyście całej dzieciątkami, naszczekującego Bosego, aż wyprzedali za nimi z chatup ludzkie, a pracujący na polu gospodarze przystawali i przysłaniali oczy ręką, żeby lepiej widzieć, co się też to dzieje i nieraz ktoś zgorzsony mówił:

— Toć wrzeszcza te dziecka jak wrony na jesien.

Kataryniarz przystawał przed chatupami i wykręcał kołbę z postępującej ze starości skrzyni różnej melodii, to skoczne, to znów jęklive.

Dzieci znały już je na pamięć i wiedziały, w jakim porządku po sobie następują.

— Teraz będzie um ta, um ta, um ta ta ta — zgadywał ktoś, kiedy dobrzmiewały ostatnie jęklive tony piosenki, i cieszone się już naprzód na jakąś wesołą.

Czasami jednak napróżno, bo jeżeli kataryniarz zauważył, że musiczynie groszaki skąpo wpadają do jego kapelusza, zamykał katarynkę z trzaskiem i odchodził mrużąc coś gniewnie pod nosem.

Nie zawsze tak jednak było. Czasami zadworkony z zarobku, zaczynał sprzedawać losy, na których były wypisane różne przepowiednie. Były rozmaitego koloru te kartki — żółte, zielone, czerwone, niebieskie. Ze skrzekiem wyciągała je papuga z pudełka.

siebie, niechętnie ulegały jej prośbom, aby bawić się razem z Jurkiem i Hanką. A kiedy już zgodziły się na to, nie się nie udawało, bo dziewczynki o byle co się obrażały i odchodziły, czekając na przeprosiny.

Jurek i Hanka widząc to trzymali się z dala od Ewy, a właściwie od jej kuzynek, które stale towarzyszyły przyjaciółce. Ewa od czasu do czasu znikala im i uciekala do przyjaciół. Zazwyczaj jednak kończyło się to przykrymi wymówkami ze strony matki, do której na skargę chodziły dziewczęta. Srofowano ją również coraz częściej za sukienki, mocno czasami szwankujące w czystości, za zachowanie, które zaczęło nagle razić dzikością. Zwraćcano również uwagę na jej mowę i wtykano rozmaite błędy.

Rozgorączona tym Ewa wymyślała się już teraz coraz częściej z domu i uciekala do Hanki i Jurka, przed którymi wywnętrzała cały swój żal. Obmyślano potem wspólnie jakies plany ratunku, a Jura przemysłował nawet nad rozmaitymi złośliwymi figlami, które chciał spłatać kuzynkom.

Sytuacja Ewy pogorszyła się jeszcze bardziej, kiedy w domu zaczęto się zastanawiać nad tym, czyby jej nie wysłać do szkoły w miasteczku. Miała zamieszkać u ciotki, matki kuzynek, i razem z nimi się uczyć.

Ewa słysząc te narady cierpła na myśl o swoim wyjeździe i o tym, że będzie z dala od domu, od swoich przyjaciół. Nie nęciło ją to, że będzie

o stare kalendarze, ale tylko z obrazkami albo też o zegarki.

— Takie, żeby tykały — dodawał.

Cieszył się tym wszystkim jak małe dziecko. Przy tym Jano był pracowity. Narębał podczas swojego pobytu drzewa po chałupach, namelił zboża na żarnach, a wszystko wśród przygrywań, przekomarzań się z drugimi, a przede wszystkim z dziećmi, które go na krok nie odstępowały.

Najdłużej zatrzymywał się w szkole, gdzie czekało już na niego stare ubranie ojca Ewy i jakieś książki z obrazkami.

Po pewnym jednak czasie, niekiedy w pośrodku nie dokończonej roboty, zabierał się i odchodził do innej wsi, na dalszą wędrownkę. Nie pomagały wtedy namowy i obietnice, że jest jeszcze robota, że dostanie dobre jedzenie. Jana już zaś gdzieś ciągnęło i znowu ten beztroski wesołek z gołą głową, w rozchełstanej koszuli i postrzępionych portkach wędrował dalej, żegnany życzliwymi słowy:

— A przyjdź zaś!

ROZDZIAŁ IV.

Ucieczka Ewy.

W sierpniu przyjechały do Ewy jej kuzynki z miasta. Przyjazd ich, którym początkowo Ewa bardzo się cieszyła, przyniósł jej już wkrótce cały szereg kłopotów i strapiień.

Kuzynki chciały Ewę zagarnąć wyłącznie dla



Kupowali je zazwyczaj starsi, bo młodzi nie mieli pieniędzy. Wyciągali tylko szyje i zaglądali czytającemu przez ramię do kartki — co mu też tam wróży. A kiedy tamten chował zazdrośnie swój los przed oczami małych ciekawskich, odchodzili niby obojętni do papugi, patrzyli, jak obejmuje ona pazurami drążek, zawzięcie czyści pióra albo tłucze skrzydłami o pręty klatki.

Czasami wyjmował jeszcze „lajerman” gądieś z ukrycia inne skarby, pokazywał zdumionym oczom pierścionki, szpilki, łańcuszki z wisiorkami, wszystko, jak zapewniał, z najprawdźszego złota.

A kiedy znowu zaczynał grać, ścieśniały się dzieci w gromadkę, stały obok kataryniarza głowa przy głowie i z utęsknieniem patrzyły na korbę; a nuż grajek skinie na któregoś z nich i pozwoli chociażby przez chwilę grać. Ale nie pozwalał nigdy... Był to bowiem człowiek mrukliwy i nieuprzejmy, gniewnie kuszyłką swoją drewnianą nogą po kamieniach, a czasami nawet łaską odpedzał zbytnio tłoczących się małych gapiów.

Przećwicznie znowu — głupi Jano. Ten wprawdzie nie przynosił ze sobą żadnych cudownych instrumentów ani zamorskich zwierząt, a przecież zawsze wszyscy, nawet starsi, witali go wesoło.

— Kajżeś był tak długo, Jano? My już myśleli, żeś o nas zapomniał — nagabywano go zartobliwie. Jano odpowiadał na to wesołym uśmiechem, szczerząc w nim zębiska, które jasno odbijały od czarniawej, spalonej słońcem twarzy.

— Żeby oni wiedzieli, jakie przygody go spotkały!

Opowiadał, jak to przez kilka tygodni włóczył się z cyganami. Dobrze mu tam było, tylko mało jeść dawali.

— A cóż tam u nich robił? — pytano go.

— Na, drzewo rąboł, groł na jargankach, wandrował z nimi. Strasznie, kupe my wandrowali — powtorzył jeszcze raz z zachwytem.

— Toś sie dobroł z nimi, bo z ciebie taki sóm smyk, jak i z tych cygonów — dogadywano mu.

— Alha! — odpowiadał tylko.

— Opowiedz nóm o nich — prosły go dzieci zawsze wszystkiego ciekawe.

Opowiadał chętnie i długo. Słuchaczom oczy rozszerzały się ze zdumienia. Starsi, żeby bagatelizować, pokpiwali trochę, młodzi nie mogli się nasłuchać.

O różnych rzeczach opowiadał jeszcze Jano, czy były one prawdziwe, on sam z pewnością nie zdawał sobie z tego sprawy, bo u niego plątało się zawsze w jedno to, co przeżył naprawdę, i to, co zmyślił. Ale zawsze słuchano go chętnie.

Czasami wyjmował nagle gdzieś z zanadtra harmonijkę usną, swoje „jarganki” i zaczynał przegrzywać. Przyklaskiwały mu dzieci do wótru, podrywały im się nogi do tańca. A Jano łyskał oczami z nad „jarganek” i uderzał bosymi piętami o dekliny z okrutnej radości, która go rozpieętała.

To znowu rozglądał się po chałupie i prosił

WIGILIA POD ŁOWCZÓWKIEM

Gromada legionistów cieszyła się, że nareszcie po ciężkich walkach pod Limanową i Marcinkowicami odpocznie sobie dobrze w Nowym Sączu.

Bractwo rozkwaterowało się na dobre, serdecznie witane i goszczone przez zacne mieszczaństwo. Każdy prawie rzemieślnik, kupiec czy urzędnik nowosądecki uważał sobie za honor częstować tych młodych zuchów legionowych, którzy bez butów prawie, w płaszczach, podszywanych wiatrem, ale z odwagą w sercu i dumą, wypisaną na czole, poszli służyć Wielkiej Sprawie odbudowania polskiej Niepodległości.

Rozdawano im prezenty, zapraszano na serdeczne obiady, wiwatowano na ulicach.

Biedniejsi, których nie stać było na poważniejsze dary, podchodzili do młodych bohaterów na ulicy wręczając im różne drobiazgi praktyczne, to zapalki, to świece, to gwoździe, to kartki pocztowe, obrazki święte, kilka kawałków cukru (schowanych przed okiem władz), scyzoryki, papierosy, kawę i herbatę w torebkach, cukierki, szelki, rzemyki itp. Nieraz odbywało się to bez żadnych ceremonii. Po prostu przechodzień zobaczywszy legionistę przystawał i wręczając mu pakunczek tak go po przyjacielsku zagadywał:



GEN. KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

— Panie szanowny, schowaj pan to i nie mów pan nic. Przyda się.

I uściskawszy dłoń zdumionego żołnierza odchodził. Żołnierz zajrzał do pudełka. Było w nim pół tuzina skarpetek.

Innym razem znów jakaś babina przypatrując się, jak legionista na rynku obchodził stragany, podeszła do niego i trąciwszy go dobrodusznie rzekła:



LEGIONIŚCI PRZY OGNISKU

— Rozdajcie to tam między swoich. A pozdrowcie kochanego naszego Komendanta, Piłsudskiego.

Zanim obdarowany powiedział „dziękuję”, babiny już nie było. Znikła w tłumie.

Odwinąwszy papier, 15-letni Stach roześmiał się tak głośno, że aż stojący obok woźnica chwycił go za ramię, pytając:

— Co wam tak do śmiechu?

— Ano, zobaczcie sami, kumie! — odrzekł legionista. — Akurat chciałem — wiecie — kupić, a tu masz! Prezent! Jak Boga Kocham! Babulka zgadła! Takie, rozumiecie, guziczki, zatrzaski, haftki, spinki, nici, igły! Akurat to chciałem kupić.

— Przecie to centy kosztuje wszystko razem — mówi woźnica.

— Centy, centy, ale trzeba je mieć — tłumaczy Stach. — A myśmy cały nasz żołd oddali na Skarb Narodowy, na tych, co nie mają mundurów ani karabinów.

Woźnica spowaźniał. Pomyślał coś, pomyślał, podszedł do wozu swojego, odwrócił się, włożył rękę do buta i obejrzawszy się raz jeszcze, czy go nikt nie podpatruje, wyjął zza cholewy zawiniątko z brzęczącą monetą. Pogmerał w tym, pogmerał, wyprostował się i zawołał:

— Hej, panie legionista, chodźno pan!

Stach podszedł śmiało. W oku woźnicy zobaczył łzę. Ubrany w kozuch chłop roztkliwił się. Potem obtarł rękawem wilgotne oczy i wręczając 10 koron rzekł:

— Ode mnie na mundurek. Może tam komu trza. Zimno. Boże Narodzenie za pasem, przyda się pewnie dla którego.

Legionista podziękował, uściskał dłoń ofiarodawcy i podążył szybko do batalionu, aby przekazać otrzymany dar.

Tymczasem w batalionie majora Rydza-Śmigłego czyniono już przygotowania do odmarszu. Z komendy austriackiej przyszedł bowiem rozkaz skierowujący natychmiast całą brygadę Piłsudskiego pod Tarnów dla odparcia gwałtownych ataków kilku dywizji syberyjskich.

Sprawnie zwijają bataliony legiono-

we swoje kwatery w Nowym Sączu i rozpoczynają pospieszny marsz we wskazanym kierunku.

Muszą iść ostro, bo austriackim wojskom powodzi się źle. W rosyjskim natarciu załamują się szyki austriackie, które z niecierpliwością czekają na zbawczą pomoc wypróbowanych już w ogniu polskich legionistów.

* * *

Tajemniczy wieczór wigilijny zastaje bataliony polskie pod Łowczówkiem.

O wypoczynku po forsownym marszu mowy oczywiście nie ma. Zaledwie kompanie i bataliony przystanąły w jakiejś wsi, rozpoczęła się kanonada.

Z przeciwległego lasu na wzgórkach zagrały armaty.

Gdzieś w dali za wsią migocą jakieś słabe światełka.

Austriackim dowódcom się śpieszy. Przychodzą nagłące rozkazy, by polskie kompanie pospiesznie szły w ogień.

Naradza się z oficerami szef sztabu Komendanta Piłsudskiego, Kazimierz Soenkowski.

Stach wraz ze swoim towarzyszem są tak zmęczeni, że w oczekiwaniu na dalsze rozkazy siadają w pełnym uzbrojeniu na mokrym ściernisku.

Armaty wałą, gdzieś chyba blisko od stanowiska kompanii. Pociski z wyciem przecinają powietrze tuż nad głowami. Stach ma ochotę na papierosa. Ale nie wolno. Nieprzyjaciel gotów po tym śladzie wymiarkować obecność rezerw i gotów poprawić cel. Że zaś jest ciemno, więc bije na oślep. W każdym razie liczy na rozpętanie zgrozy, aby potem zmęczone i rozstrojone szeregi tym łatwiej pokonać.

Stach wypił „wyfasowany” rum na rozgrzewkę i zaczął drzemać. Usnął. Przyśniło mu się, że chwycił pocisk armatni do ręki... I tak jakoś zaczął się nim bawić jak niedawno jeszcze w domu piłką. Rzucił pocisk w Janka, ten jednak odrzucił go z powrotem, rozżalony, że mu go podano w stanie tak zabloconym... Stach wyciągnął rękę, aby z szafy zdjąć szmatę i dobrze obetrzeć pocisk. Chciał, aby



W CZASIE ZADYMKI

błyszczał jak złoto. Po chwili uczył jakiś silny ból...

Kiedy otworzył oczy, był już prawie dzień... Świt rozpostarł się dookoła niebieskawą, zimną barwą.

Nad Stachem stał podoficer Luboń. Trzymając go za rękę i groźnie spoglądając, cedził przez zęby:

— Cóż wy, obywatelu, chcecie od kieszoni mojego płaszcza? Rozdarliście mi ją na szmate.

Stachowi zdawało się, że na chwilę oprzytomniał pod wpływem mocnej ręki Lubonia. Był jeszcze zaspany, ale jął się tłumaczyć:

— Ja właśnie brałem szmatę z szafy... wyczyścić pocisk na glanc...

Tymczasem koło niego zebrała się cała grupka ciekawskich i ryknęła śmiechem:

— Obywatel się, widać, zdrzemnął zdrowo?

Istotnie. Zamiast pocisku Stach trzymał w rękę manierkę z resztką rozmarzającego napoju...

Wnet jednak wytrzeźwiał, bo oto zaczął się porządny ruch. Kompanię postawiono na nogi.

Po chwili kolumna rozwinęła się w tyralierę...

W następnym kwadransie miała

już nasadzone bagnety na karabiny — a w pół godziny potem z okrzykiem: Hurra! runęła na okopy rosyjskie.

Chłopcy prali zamazyście. Stach z nimi także, wykrzykując z całych sił do Moskali:

— To za krzywdę naszą. To za Traugutta, to za Okrzeję, to za naszych ojców i braci, za to, żeście ich niewinnie wieszali i mordowali!...

Wtem podoficer Luboń, kochany chłop, zachwiał się i padł. Żołdactwo rosyjskie dobijało go kolbami w naszych oczach, a on krzyczał:

— Niech żyje Polska, legionieści na przód!

Potem już Stach nie pamiętał, co się dalej stało.

Kiedy przyszedł do siebie i otworzył oczy, spostrzegł, że leży na podłodze mocno obandażowany. Zrozumiał, że pewno go ktoś z Moskali na rewanz mocno dzielił kolbą. I to w sam raz: na gwiazdkę!

W izbie na punkcie opatrunkowym w Janowicach było z 50 legionistów... Śpiewano kolędę: ...Bóg się rodzi, moc truchleje...

To była legionowa wigilia pod Łowczówkiem. Ale dziś jest za to Polska Niepodległa...
(m-o.)



ŚWIĘTA W LESIE

Nie krzyczcie, jak opętane,
i dajcie mi przyjść do słowa;
nie tylko ludziom jest droga
kołyska Chrystusowa.

W wilię narodzin Chrystusa
po biało ubranych drzewach
płynnie poszumem świerkowym
wieść najszczęśliwsza i śpiewa.
Świerki, jak panny wysmukłe
w srebrze bogatych atlasów,
pachną żywicą i szemrzą
o cudzie wieczystych czasów.
Dęby prostują się dumnie,
prawdziwi lasu rycerze,
gotowi dla tego Pana
osłonić piersi pancerzem.
Sosny, osiki i graby,
kaliny, modrzewie, lipy,
stoją w zadumie głębokiej
pod śniegiem, co je osypał.

*

A dalej wszelkie zwierzaki,
od wielkich, aż do najmniejszych,
szykują swoje futerka
i norki na dzień jutrzejszy.
Wilk czesze kudły pazurem,
na dziatwę gniewnie nie warczy
i pyta żonę-wilczycę,
czy blasku futra wystarczy?
Lis natarł śniegiem bekieszę,
jęzorkiem szubę wygładza
i norę swoją zbójecką
wonnym jałowcem wykadza.
Borsuki, że to najczystsza
wśród tłumu leśnego nacja,
kąpią się w rzecznej przerębli
przed wigilijną kolacją.
Zające, wiewiórki, myszki,
kuny, łasiczki i krety
zwijają się jak w ukropie
pełne radosnej podniety.
A już o ptaszkach nie mówię, —
wszystkie, choć pora spóźniona,
robią porządek świąteczny
od łebków, aż do ogona.

*

Tymczasem księżyc nad lasy
majestatycznie wypłynął.
Zajrzał do dębów poważnych,
zatrzymał się nad olszyną,
pozdrowił zgięciem łysiny
ptasząt krzykliwe chóry
i znowu schował się dumnie
w puszystą jak wełna chmurę.
Uważa bowiem, — i słusznie —
że całym blaskiem zaświeci,
gdy kawka z wieścią świąteczną
krzycząc do lasu nadleci.
Kawce oddano ten zaszczyt
i już od godzin trwa hałas:
czemu nie wronie, nie wróblom,
nie krasce — śmigłej, jak strzała?!
Czemu? Bo kawka, choć czarna
i niepozorna ptaszyna,
najmniej ze wszystkich skrzydłaków
kłótni i sporów wszczyną.

*

Noc właśnie w płaszczu bogatym
w salonach swoich królewskich
przyjęła dworki gwieździste
i krocie ciał niebieskich.
Komety, z których niesłusznie
wróżymy klęski, pożogę,
złotymi swymi miotłami
mleczną zmiatają drogę.



Mgławice znowu, że ponoć
puszyste są jak pierzyna,
usłały białe kilimy
dla bosych nóżek Dzieciny.

*

Nagle z ogromnym okrzykiem
kawka w las wpadła i woła:
Kra, kra! — widziałam już gwiazdę,
błękit i złoto u czoła!
Idzie wśród gwiazd stu tysięcy,
jak hetman dobrej Nowiny
i wieści blaskiem ogromnym
Dzieciątka Narodziny!
Las zamarł, jak wojsko wierne
podczas wielkiego przeglądu
i tylko księżyc srebrzysty
zza chmury trwożnie wyglądał.



I wówczas, jakby na hasło,
lasem, i polem, i wszędy,
rozedrgały się rzewnie
śpiewane bez słów kolędy.
Kto mógł sopranem, kto basem,
a kto znów kontr-basem śpiewał.
Śpiewały ptaszki, zwierzęta,
śpiewały trawy i drzewa.
Śpiewały gwiazdy wysokie
i księżyc mrucał pod nosem,
i nawet lisek-przechera
śpiewał fałszywym głosem.

*

Jest taka cudna legenda,
marzeniem wysnuta z serca,
że w noc wigilijną zwierzęta
idą przez pól kobierce,
przez śnieżne, ciche kobierce
idą ku ludzkim chatom
w noc, która niesie stworzeniu



pojednań serdeczne kwiaty.
Jest taki zwyczaj cudowny
w dobroć bogaty jak w złoto,
że człowiek dzieli opłatek
ze zwierzętami u płota.
To też nie dziwi mnie wcale,
co widział drwał, mój znajomy,
a o czym by można pisać
obfite i piękne tomy:
że lis nie rusza turkawki,
jastrząb gołębia nie goni,
lis nuci obok zająca,
a kuna kuropatw broni.
Więcej: — do samej północy,
dokoła świerka na łące
widać wszelakie zwierzątka,
w zgodzie przykładnej tańczące.
Zaś o północy zwierzaki,
nawet sarenki i dziczki
idą pochodem poważnym
do małej w polu kapliczki.
Tam każdy zwierzak drapieżny
obok zwierzaków spokojnych,
ślubuje zaprzestać rzezi
i wszelkiej po lesie wojny...
Nie wiem. Jest taka legenda...
Piękna, zaiste i święta.
Widocznie gdy święto minie,
zapominają ślubów zwierzęta!...
Tymczasem prawda jest wielka
dla chłopców i dla dziewczynek,
że w Boże Narodzenie
pełno jest w lesie choinek —
i tego pomiędzy bajki
przenigdy chyba nie włożę —
że w lesie, w noc wigilijną
każde drzewko jest — Boże.

Juliusz Wirski



IX. WIĘZIEŃ OCEANU

— Nie myśl, że poszło nam łatwo — opowiadał innego wieczora kapitan Fernando dalszy ciąg swych przygód inżynierowi. — Jak ci mówiłem, Lopez zginął, roztrzaskawszy się w łódeczce o skały nadbrzeżne. My trzej, przygnębieni tym wypadkiem, nie wiedzieliśmy co czynić: czy wracać, czy też jeszcze prowadzić poszukiwania w myśl posiadanych przez Antonia zapisków... Przyznam, że w treść ich, głoszącą o ukrytych wewnątrz wyspy skarbach, nie bardzo wierzyłem.

Postanowiliśmy zostać tam jeszcze trzy dni, bo mniej więcej tak wypadło nam z posiadanych zapasów wody i żywności. Na wyspie prócz ptasiego mięsa i jaj nic nie można było zdobyć.

Obeszliśmy w ciągu tych trzech dni

całą wyspę i nie znaleźliśmy nigdzie czegoś, co przypominałoby ślad ludzki!

— Postanowiliśmy tedy nie szukać dłużej i wracać. Na wzgórzu, przeznaczonym na grobowiec Gomeza, wystawiliśmy mały krzyż z żelaza okrętowego (drzewa na wyspie zupełnie nie było). I zesłaliśmy na brzeg — Gomez i ja, bo Diego Garcia był na statku...

Siadaliśmy właśnie do drugiej i ostatniej posiadanej jolki, co nie było rzeczą łatwą, a co musieliśmy wykonać ostrożnie, bo utrata tej łodzi groziła nam odcięciem od szkunera, — kiedy naraz zaszedł jeden z tych wypadków, jakie choć pozornie zupełnie nieważne, wywierają jednak decydujący wpływ na losy ludzi...

Otóż Gomez, siadając do podrygującej na fali łodzi, upuścił pudełko z sekstansem... Odbiło się ono od skały



i z pluskiem wpadło do wody... Strata niepowetowana!

Nie mieliśmy drugiego sekstansu, w drodze więc — przy odległości 2000 mil, nie moglibyśmy określić naszego położenia.

Nie namyślałem się wtedy długo. W oka mgnieniu zrzuciłem ubranie.

— Co ty robisz? — krzyknął Gomez, chwytając mnie za rękę. — Przecież tu jest najmniej 20 metrów głębi!

— Nie lękaj się — odparłem. — W Valparaiso nie było ode mnie zręczniejszego chłopca do wyciągania monet.

I skoczyłem.

Znasz pewno to prawo fizyki, sprawiające, że zależnie od wagi własnej i od głębokości wody w danym miejscu, przedmioty rzucone w głębie niekoniecznie idą na dno, ale zanurzwszy się pływają „między dwiema wodami”. Zupełnie tak, jak łódź podwodna z napelnionymi balastami ma wyporność ujemną, a jednak zostaje zrównowazona na pewnej głębokości i już dalej nie tonie — zupełnie tak samo było z tym pudełkiem. Już sięgałem ręką, kiedy...

Kiedy — dziś jeszcze na samo wapomnienie ciarki chodzą mi po krzyżu — kiedy, powiadam ci, skrzynka z sekstansem wymknęła mi się z rąk i popłynęła szparko, a jednocześnie i ja poczułem na grzbiecie jakby silne popchnięcie niewidzialnej dłoni. Jakiś prąd, z którym daremnie starałem się walczyć, pchał mnie i to nie na morze (był właśnie przyływ), ale wprost na podwodne skały wybrzeża.

I naraz, zamiast roztrzaskać się o



MADONNA

Mal. Rafael

skale, znalazłem się jakby w tunelu, którym rwała woda. Tym razem wydobyłem się na powierzchnię, w sam czas aby nie ulec uduszeniu. Byłem przecież pod wodą chyba ze dwie minuty...

Prąd przyływu niósł mnie tym mrocznym tunelem kilkadziesiąt metrów, aż wreszcie wyrzucił na plażę podmorskiej groty, bardzo cieplej ale prawie zupełnie ciemnej, bo tylko słabo oświetlonej otworami, przez które wlewała się woda. Przyznaję, że mimo strachu ogarnęła mnie wówczas wielka ciekawość.

Myśl o ukrytych skarbach, wspomnianych w którejś z zapisek Gomeza, przysłała mi odrazu do głowy.

Ale wnet, gdy zaspokoilem pierwszą ciekawość i rozejrzałem się w położeniu, strach powrócił. Bo rzeczywistość — byłem prawdziwym więźniem oceanu. Nie miałem żadnego sposobu skomunikowania się z Gomezem, który tam na górze miał mnie już z pewnością za topielca. Nieborak po krótkich poszukiwaniach — zapewne odpłynię na „Irysie”. O tym, żeby znalazł wejście do groty, położone (nawet w czasie odpływu) o jakieś dobre dwa — trzy metry pod poziomem morza — marzyć nie mogłem.

Czas leciał, a mnie strach jeżył włosy na głowie. Byłem bezsilny. Próbowiałem płynąć pod prąd do otworu — ale wnet dałem spokój widząc, że i dwa razy silniejszy ode mnie nic nie wskórały. Obiegnęłem wokoło pieczarę szukając jakiegóż wyjścia na powierzchnię — ale nie znalazłem żadnego otworu.

Trzeba więc było cierpliwie czekać odpływu. A przecież przypływ nie dalej jak przed dwiema godzinami się rozpoczął. Miałem więc przed sobą dobrych kilka godzin. Przez ten czas Antonio i Diego na pewno odpłyną.

Musiałem więc uzbroić się w cierpliwość. Skołatany, obolały i smutny położyłem się na twardej płycie, zmówiwszy wpierw pacierz, boć chyba jedna tylko ręka Boska mogła mnie z tej pułapki wybawić. Zasnąłem...

Na wpół przez sen dostrzegłem, że w grotcie było nieco widniej. Spojrzawszy w dół zauważyłem, że woda znacznie opadła.

Podniósłszy oczy w

górze ujrzałem stojącą nade mną postać, która wprawiła mnie w przekonanie, że chyba jestem już na tamym świecie... Dziwne to było, niezwykle zjawisko, jak gdyby widmo przeszłości.

Starzec chyba stuletni, siwiuteńki, chudy jak szkielet, z brodą, spadającą niżej pasa, przypatrywał mi się ciekawie, lecz życzliwie. Odziany był w rodzaj długiej, zresztą bardzo zniszczonej koszuli, a w rękę trzymał płonące łuczywo. Wreszcie przemówił po hiszpańsku, ale językiem, jakim musiano mówić za czasów, kiedy to twoi ziomkowie w Hiszpanii za Napoleona wojowali.

— W samą porę przybywasz, mój synu, — mówił powoli starzec, widać, z wysiłkiem znajdując słowa. — Myślałem już, że przyjdzie mi zejść ze świata, nie przekazawszy nikomu tajemnicy, której strzeżę. A widocznie sam Pan Bóg zsyła mi następcę i towarzysza do wieczry wigilijnej.

Nie zaprzeczyłem.



X. BOŻE NARODZENIE POD ZIEMIĄ.

Ustał warkot świrdrów, szum spawaczy i dźwięczny huk młotów, odbijający się echem od skał pieczary. I choć nie się pozornie nie zmieniło, bo jednakowo zielone światło zalewało łagodnym blaskiem podziemną twierdzę Złotego Krzyża, choć zabrakło owej pierwszej gwiazdki Betlejemskiej, bo skalne sklepienie zamykało się szczelnie nad głowami braci, — to jednak powiało w głębi wulkanu czymś wielkim i uroczystym.

— Ninio, chłopcze drogi! — zawołał uradowany inżynier Malinowski, spozstrzegłszy na stole swego pokoju małą, właściwie tylko z jednej gałązki złożoną choinkę, obwieszoną pięknymi papierowymi wycinankami. — Toś ty to zrobił?

— A ja, senior, — odparł z dumą chłopiec. — Tyle mi pan opowiadał o zwyczajach świątecznych w Polsce, że chciałem wszystko urządzić tak, jak tam bywa... Niestety — dodał ze smutną miną — choinki nie rodzą się pod ziemią, a o cacka w tej pieczarze równo trudno jak o słońce.

— Nie martw się, chłopcze. To wszystko bardzo ładne i bardzo ci dziękuję. Ale powiedz mi, jakim sposobem zdobyłeś tę gałąź sosny chilijskiej? Przecież tu nic podobnego nie rośnie.

Ninio zrobił sprytną minkę.

— Powiem panu coś w sekrecie. „Huascar” co pewien czas wypływa na morze po świeżą żywność. Bierze ją albo od naszych sprzymierzeńców na Rapanui, albo też z transportowca, który aż od brzegów Japonii na te wody przybywa i na którymś z bezludnych atollów Polinezji ją składa. Prostu uprosiłem jednego z braci-marynarzy o kawałek sosenki z Rapa. Ot i wszystko...

— Dobrze się spisał, synku, — uśmiecha się inżynier. — Chodź, niech cię ucałuję, bo sprawiłeś mi wielką radość. Nie ma przecież nic bardziej radosnego, jak święto Narodzin Chrystusa, a nic bardziej kojącego tęsknotę, jak wspomnienie chwil świątecznych w domu spędzonych. Przecież i ja kiedyś



byłem takim małym chłopcem jak ty, i przy choince otrzymywałem gwiazdkowe podarki...

— Nie takim samym, — uśmiechnął się pokazując swoje olśniewające zęby Ninio. — Bo pan jest biały, a ja czarny.

— Widzisz, chłopcze, na świecie są różne złe przesady i zwyczaje, które wy-

korzenie należy, aby wprowadzić w czyn wielką chrześcijańską zasadę: „kochaj bliźniego jak siebie samego”. To jedno z zadań naszego Bractwa. Wówczas nikt już nie będzie brał za złe małemu Murzynkowi, że na przykład chce się bawić z białym chłopakiem!

Tu idąc za przerwany chwilowo tokiem myśli inżynier dodał:

— Pamiętam właśnie pewien wieczór wigilijny u nas w domu, w Polsce. Miałem wówczas dopiero dziewięć lat i strasznie pragnąłem jako podarku gwiazdkowego... no, zgadnij...

— Okrętu! — zawołał błyskając oczyma Ninio.

— Zgadłeś. Chciałem okrętu. Ale kiedy zwierzyłem się matce, ta posmutniała i rzekła:

— Co ci też, Stefanku, przychodzi do głowy. Polska w niewoli, podzielona między trzy wielkie państwa, więc co tu o morzu, czy o okrętach polskich marzyć, kiedy wprawdzie trzeba kraj z niewoli oswohodzić, a i to dzisiaj wydaje się niemożliwym.

Ja oczywiście zamilkłem, bom przywykł we wszystkim słuchać matki. Ale brat mamy — wuj Henryk, który wówczas był studentem, jak nie skoczy:

— Możliwe, siostrzyczko kochana, możliwe, bylebyśmy tylko mocno tego chcieli, — zawołał, — bylebyśmy miast biadać i narzekać, do dzieła rażno się wzięli. Nie wybawimy ojczyzny z niewoli łzami, ale czynem. I to czynem zbrojnym. Ten chłopak ma rację: potrzeba nam wojska, tak na lądzie jak i na morzu.

— Widzisz, synku, — ciągnął inżynier — jeśli wierzę dziś w powodzenie sprawy Złotego Krzyża, to już na podstawie tamtego wrażenia. Przed laty pojawił się u nas wódz, Józef Piłsudski, a ja miałem wielki zaszczyt służyć i walczyć pod jego rozkazami.

— To pan był na prawdziwej wojnie?

— Tak, chłopcze. A potem nauczyłem się budować te okręty, o których za młodu marzyłem.

*

— Jak tam próba silników?

— Doskonale. Wynalazek inżyniera Garcii jest przewrotem w dziedzinie techniki. Odtąd nie będzie już trzeba podwójnego napędu na łodziach podwodnych — spalinowego na powierzchni



Mal. W. Tetmajer

ni, a elektrycznego pod wodą. Wystarczy jeden — co pozwoli oszczędzić bardzo wiele, tak na wadze, jak i na paliwie.

— Na czym polega ta zasada? — pytał dalej interesujący się żywo techniką ojciec Rodryg.

— Bardzo prosta, ojcze. Prąd dostarczany przez dynamo rozkłada wodę morską drogą elektrolizy, oddzielając osobno tlen i wodór. Woda, jak wiadomo, składa się z dwóch części wodoru i jednej tlenu. Specjalny aparat oddziela jedną część wodoru, pozostawiając drugą, która wraz z tlenem wytwarza «mieszaninę piorunującą». Mieszani-
na ta, w odpowiednim składzie zostaje doprowadzona do silników, gdzie wybuch jej wprawia w ruch tłoki, tak samo, jak ropa lub benzyna. Mieszani-
na nie daje żadnych spalin trujących, mogących odebrać załódze możliwość swobodnego oddychania. Toteż ten sam silnik stosuje się przy pływaniu nawodnym i podwodnym. A zużycie ropy pędnej ograniczone jest do ilości potrzebnej dla wytwarzania prądu elektrycznego do elektrolizy.

— Błogosławieństwo Boże jest z nami, — wyszeptał ojciec Rodryg. —



Mal. E. Hanzel

A jakżeż myślicie stąd wyjść? — pytał dalej. — Przecież wejście jest podobno tak ciasne, że tylko ta malutka łódź podwodna — „Inka” — ledwie przecisnąć się zdoła.

— To już rzecz wodza, ojcze, — odpowiedział inżynier. — Skoro tu rozkazał budować, to śnać wiedział, co czyni.

e. d. n.

Jim Poker

WĘDRÓWKA W ŚWIAT

Od dnia, w którym „Eliza” rzuciła cumy na wybrzeże w porcie San-Francisko, minęło już pół roku. Życie obydwu przyjaciół, związanych dość burzliwym losem od chwili, gdy się poznali w Gdyni, zmieniło się gruntownie.

Szymon Wawrzyńczak mieszkał w bursie szkoły morskiej, założonej przez pana Reginalda Starcka, obecnie zaś znajdującej się pod opieką związku towarzystw okrętowych i armatorów amerykańskich. Mr. Starck był człowiekiem

praktycznym, więc dowiedziawszy się, że młody Polak ma trudności z językiem angielskim, zaprosił do siebie jednego z nauczycieli i obiecawszy mu dodatkową płacę prosił go, by czym prędzej nauczył Szymka biegle mówić po angielsku.

W ten to sposób Szymek w jakies dwa niespełna miesiące rozmawiał już z kolegami po angielsku i na wykładach rozumiał wszystko. W sobotę dostawszy urlop szedł do Starców i tu popołudnie i całą niedzielę spędzał z Budziszem i Jimmim. Robili wycieczki samochodem i pieszo zwiedzając dawne kopalnie i ruiny osad poszukiwaczy złota, dążących po bogactwo na Daleki Zachód, gdzie wówczas trzeba było nieraz z bronią w rękę opędzać się bandytom i waleśającym się watahom Indian.

Budzisz mieszkał w pałacu Starców, gdzie wraz z Jimmim i pięciu jego rówieśnikami — synami kalifornijskich bogaczy — uczył się u profesorów, przygotowujących ich do egzaminu na licencjat, co odpowiada naszej maturze.



TUŃCZYK SCHWYTANY NA WĘDKĘ

Nauka szła Wojtkowi łatwo, gdyż wiedział więcej od kolegów. Pomagał więc Jimmiemu, bo słabowity, raz po raz zapadający na zdrowiu chłopak nie był bardzo zdolny.

Jimmy chwili nie mógł pozostać bez przyjaciela i wtedy, gdy Wojtek odrobiwszy swoje lekcje zasiadał do książki, aby uczyć się historii i literatury polskiej, garbus kładł się na sofie w jego pokoju i leżał cicho, zapatrzony w poważną, surową twarz Budzisz.

Pewnego dnia podszedł do niego i ogarnawszy go ramieniem szepnął:

— Chcę się nauczyć mówić po polsku, gdyż myślę, że sprawiłoby to ci przyjemność, a i mnie również, bo moglibyśmy razem czytać twoje książki.

Budzisz z zapałem wziął się do lekcji z Jimmim. Okazało się, że garbus miał wybitne zdolności do języków i nadspodziewanie prędko zaczął już czytać i coś niecoś mówić po polsku.

We trójkę jeździli parokrotnie do filmowej stolicy — Hollywoodu, gdzie poznali Charlie Chaplina, Maurice'a Chevaliera, Flipa i Flapa, Carnerę i innych gwiazdorów, których oglądali na filmach, gdyż wszyscy trzej przepadali za kinem.

Przyjaciele odwiedzali od czasu do czasu pana Kajetana Lotka. Rodak cieszył się zawsze ujrzawszy Polaków, ale czuł się nieswojo w obecności małego Starcka, chociaż chłopak życzliwie spoglądał na niego.

— Że też wy się nie boicie, że taki wam się rozpadnie i posypią się z niego dolary! — mruzczał do Budzisz i Warzyńczaka, gdy Jimmy stojąc przy oknie przyglądał się dzieciom, biegnącym po podwórku.

Jakież było zdumienie i przerażenie poczciwego pana Kajetana, gdy pewnego razu, powiedziawszy coś w tym rodzaju, posłyszał od Jimmiego następującą odpowiedź:

— Dlaczego ja się rozpadać?...

— Dlaczego mam się rozpadać... — poprawił go Wojtek.

— ...mam się rozpadać... i dlaczego

pan myśl...li, że wypcha-
no mnie dolarami?

Pan Lotek stał, jak
biblijna żona Lota, za-
mieniona w słup soli,
i nie mógł pary puścić
z gęby.

— Czary! Czary! —
szepnął wreszcie. — Mi-
lionery wszystko mogą,
nawet gadać po nasze-
mu!

Wszyscy parsknęli na
to głośnym śmiechem,
a najgłośniej śmiał się
sam pan Kajetan.

Od tej jednak roz-
mowy między nim a
Jimmim poczęła się na-
wiązywać przyjaźń, naj-
pierw dlatego, że mogli
już swobodnie porozu-
miewać się ze sobą, a
powtóre, że pan Kaje-
tan był rekordsmanem
w sporcie rybackim łapi-
jąc największe makrele
i żadnej nigdy nie pu-
szczając. Jedyńą po-
drożowaniem namiętno-
ścią garbusa stało się
wędkarstwo i na tym
podłożu powstała tak
wielka przyjaźń jego dla Lotka, że
chłopak uprosił ojca, by wziął Pola-
ka do swoich warsztatów i kazał mu
praktykować przy samochodach.

Pan Kajetan był zdolnym mecha-
nikiem, więc szybko nauczył się obcho-
dzenia z motorem i awansował na szo-
fera na razie ciężarówek, a potem auta
młodego Starcka, z którym jeździł ku
znanym mu skałom, gdzie najlepiej bra-
ły się czerwone makrele, a nawet duże
i silne tuńczyki.

Tej przyjaźni dwu rybaków zawdzię-
czała miejscowa polska świetlica i czy-
telnia hojne od młodego Starcka ofiary,
a wszelkie przedstawienia i widowiska
dobroczyne mogły zawsze liczyć na
znaczące dochody.

Chłopcy, a z nimi razem i Jimmy zo-
stali przez Lotka wprowadzeni do ko-



POŁÓW MAKRELI

lonii polskiej w San-Francisko i zaczęli
odwiedzać rodaków.

Pewnego razu spostrzegli, że Jim-
my omal nie upadł, gdy przeląkłszy się
wybiegającego nieoczekiwanie z bocznej
ulicy murzyna, chciał uskoczyć na bok,
Wojtek nachmurzył czoło i szepnął do
kaleki:

— Muszę zrobić z ciebie atlete,
Jimmy!

— Ze mnie? — spytał chłopak i ze
smutkiem pokiwał głową. — Zapomi-
nasz, że jestem garbusem...

— To nic nie znaczy! — odparł Bu-
dzisz. — Od jutra zaczniemy, a tak, że-
by nikt nie wiedział, a potem pokażesz,
co umiesz. Nie chcę, żeby byle kto mógł
cię nastraszyć i zmusić do ucieczki.

— Jestem słaby, jak każdy garbus —
powtórzył Jimmy.

— A ja ci powiadam, że zrobię z ciebie atletę! — z uporem w głosie odpowiedział Wojtek.

Nazajutrz rozpoczęły się ćwiczenia. Wojtek dobrze wszystko obmyślił. Podczas ostatniego widzenia się z Szymkiem posłyszał od niego nowinę, że oprócz treningu w boksie w szkole wprowadzono japońską walkę, tak zwaną dżiu-dżitsu, i fechtunek, w którym zamiast szabli lub floreta używano całkiem niewinnej broni — zwykłej laski spacerowej.

Budzisz zakrzętnął się i następnego już dnia sprowadził do mieszkania Jimmiego nauczyciela tej sztuki. Młody, wysportowany, chociaż wcale nie silny Amerykanin pokazywał chłopcom ruchy i chwyt, prawie niewidzialne a niezawodne, bo obalały silniejszego przeciwnika i obezwładniały go najzupełniej. Uprzedzony przez Budzisz Amerykanin uczył garbusa, by zawsze starał się nieść za sobą oparcie, co czyniło ruchy jego pewniejszymi i silniejszymi.

Po kilku już lekcjach Jimmiemu udało się wykręcić rękę Wojtkowi i zmusić go do ukłęknięcia. Słaby, bezbronny chłopak nie posiadał się z radości i podwoił swoje starania. Wojtek spostrzegł, że ten sport zmienił wkrótce nastrój ka-

i pewności siebie. Również gładko poszło z fechtunkiem. Po paru tygodniach ćwiczeń chłopcy zwykłą laseczką umieli zwalić z nóg najtęższego człowieka, a nagłym i krótkim uderzeniem w kolano pozbawić go sił.

Gdy obaj chłopcy pewnego razu zademonstrowali swoją sztukę przed panem Reginaldem Starckiem, ten na razie się przeląkł, a potem, gdy Jimmy na nim samym wypróbował chwyt dżiu-dżitsu, wpadł w wyborny humor i gorąco dziękował Budziszowi za świetny pomysł.

— Teraz, ojcze, — powiedział Jimm, — twój syn nie boi się spotkania z jakimś tam pierwszym lepszym napaśnikiem, bo nie tylko może mu się sprzeciwić, ale nawet zwyciężyć go...

Chłopak był bardzo dumny i oczy mu błyszczały odwagą prawdziwego mężczyzny.

— Tego Budzisz nam niebo zesłało, Gertrudo! — mówił pan Reginald do ciotki Jimmiego.

Staruszka wzniosła oczy i szepnęła:

— Modlę się za niego codziennie, bo to złote serce i głęboki umysł... Ze strachem myślę, czy długo zechce zostać u nas...

Pan Starck posmutniał nagle.



— Ta-ak! — powiedział. — Myślę i ja o tym i nieraz obawiam się, że coś może popsuć stosunek tego młodzieńca do naszego kochanego chłopaka.

Podczas jakiegoś popisu w szkółce polskiej zaszła rozmowa o zbliżających się świątach Bożego Narodzenia.

Wojtek zaczął opowiadać o choince i uczcie wigilijnej. Polacy, od dawna mieszkający w skwarnej Kalifornii, zapomnieli już o obyczajach, które przechowały się jeszcze w „starym kraju”, młodzież zaś i dzieci słuchały tego, jak bajki. Niektórzy nawet drwili z lekka ze „śmiesznych zabobonów”.

— Tym bardziej muszę urządzić im wilię z choinką i kolędami! — uparł się chłopak i zaczął rozmyślać nad tym, jakby można było zrobić choinkę. O kolację był spokojny, bo od czegoż miał pod ręką „znakomitego kuka”, Szymona Wawrzyńczyka?! Gdy powiedział mu, że będzie musiał przyrządzić kolację, składającą się z zupy grzybowej z uszkami, z siedmiu różnych gatunków ryb i z tartego na miodzie maku z „łamańcami”, chłopak wzruszył ramionami i odparł:

— Bagatela! Potrafię! Tu tyle przeróżnych ryb, że będę mógł nasmażyć dwadzieścia ich odmian! Mak też widziałem w chińskich jadłodajniach. Zrobi się!

Jimmy ogromnie się zainteresował projektem przyjaciela i pewnego razu jadąc gdzieś samochodem powiedział do pana Kajetana:

— Musimy zdobyć dla Wojtka choinkę! Ale jak?

Szofer namyśliwszy się chwilkę doradził Jimmiemu wstąpić do ogrodnika



ŚWIĘTA RODZINA

Mal. El Greco

i pomówić z nim o tej sprawie. Ogrodnik przyrzekł sprowadzić choinkę z gór Skalistych i istotnie — choinkę na czas dostarczono do pałacu Starcków.

W ogromnej sali parafialnej pod kierownictwem Wojtka ustawiono i ozdobiono drzewko. Małe, kolorowe lampki elektryczne, niby świętojańskie robaczki, jarzyły się na każdej niemal gałązce świerkowej. Budzisz z pomocą księdza zorganizował zbiorową ucztę i uprosił organistę, aby nauczył swój chór kilku kolęd.

Po wczesnej pastercie, odprawionej przez proboszcza w kościele polskim, wszyscy zasiedli do stołów, okrytych białymi serwetami, pod którymi leżało siano.

Ksiądz przełamał z każdym opłatek i złożył życzenia świąteczne, poczem nastąpiła chwila prawdziwego triumfu

Szymka. Wigilijna wieszka, szczególnie zaś zupa grzybowa z drobnymi uszkami i tarty mak z miodem i kruchym ciastem przypadły wszystkim do gustu.

Wojtek opowiadał rodakom o życiu w Polsce, o żyznej równinie kujawskiej i wielkopolskiej, pokrytej łanami pszenicy i żyta, o wielkich miastach historycznych, o pięknej Gdyni, co to z małej wioszczyzny rybackiej w wielki i ruchliwy urosła port.

Rodacy słuchali z zapartym oddechem, a temu i owemu łza błysnęła w oku. Nawet młodzież, nie czująca już tęsknoty za Polską, spoważniała nagle i słuchała z zajęciem.

Potem zapalono choinkę, przy której odśpiewano kolędy. Ledwie przebrzmiały ostatnie ich nuty, pan Kajetan Lotek wyszedł z sali i powrócił z dużym koszem wołając wesołym głosem:

— Upominki od św. Mikołaja! Wyobraźcie sobie, mili moi, że mam na sobie czerwoną sukmanę, czapę, zaproszoną śniegiem, i długą siwą brodę. No, niech każdy wyciąga sobie podarek z mego kosza!

Udawione towarzystwo otoczyło „św. Mikołaja” i każdy otrzymywał od niego upominek. Były tam portmonetki, ołówki, szczoteczki z lusterkiem, scyzoryki, puderniczki, grzebienie, cygarniczki, spinki, broszki, chustki do nosa, skarpetki i pończochy, krawaty, czekoladki, karmelki, sznury koralików, lalki, piłki i inne drobiazgi, aż wreszcie na samym dniu dla proboszcza — bardzo piękna fajka w zamuszowym futerale, dla Wojtka — grube, „wieczne” pióro, a dla Warzyńczaka — nowa czapka marynarska i... książka kucharska.

Wszyscy się domyślili, że były to miłe upominki od Jimmy Starcka, przyjaciela organizatorów tak bardzo przyjemnego wieczoru.

Szymek mrużąc oczy żartował:

— Gdybym miał wcześniej tę książkę, tobym dopiero wystąpił z kolacją, bo teraz to chyba na przyszły dopiero rok zacząć ją wertować!

— I bez książki wszystko było bardzo dobre! — wołali rodacy poklepując dzielnego „kuka” po ramieniu i dodawa-

li: — Ale czapkę to macie teraz fajną! Wyglądacie w niej niczym prawdziwy kapitan okrętu!

— Aż do otrzymania dyplomu nie włożę jej! — odpowiadał uradowany Szymek.

Do późnej nocy bawiono się wesoło. Wśród obecnych znalazł się fotograf. Zrobił on zdjęcia wszystkich obecnych z prezentami w rękach, a proboszcz zaproponował, żeby powiększyć zdjęcie, oprawić je w piękną ramę i podarować młodemu Starckowi. Myśl tę wszyscy od razu podtrzymali i w parę dni potem w pokoju Jimmiego fotografia ta wisiała już nad biurkiem.

Podczas świąt zaszedł wypadek, który wzbudził jeszcze większą przyjaźń Starcków dla Budziszka.

Jimmy zaprosił do siebie kolegów. Chłopcy znudzony się w pałacu wybiegli na trawnik przed domem i postanowili zagrać partię piłki nożnej.

Garbus nie brał udziału w grze, gdyż nie pozwalało mu na to jego kalectwo.

Jeden z rozbawionych i rozdokazywanych chłopców, niejaki Billy Worms, syn dyrektora kolei, przebiegając koło Jimmiego zaczepiał go za każdym razem silnie go potrącając.

— Słuchaj, Billy, — powiedział wreszcie Jimmy, — nie podoba mi się twoje zachowanie.

— Mam w pięcie twoje uwagi! — odkrzyknął brutalny chłopiec i już rękę wyciągnął, by zrzucić Starcka z ławki.

Nagle stało się coś niespodziewanego. Jimmy porwał rękę napastnika, błyskawicznym ruchem wykręcił mu ramię i popchnął go. Billy z krzykiem zatoczył się i runął jak długi na ziemię. Leżał oszołomiony i zdumiony. Po chwili jednak podniósł się i spytał głupkowato:

— Co się właściwie stało?

— Byłeś niegrzeczny, a więc cisnąłem cię o ziemię — uśmiechnął się Jimmy.

Chłopcy otoczyli przeciwników i wypytywali, jak to mogło być, żeby mały Jimmy tak huknął Billego, że aż ziemia jękała.

Na to odpowiedział Wojtek ze śmiechem:

— To długo objaśniać! Radzę spró-



INDIANIN KALIFORNIJSKI W „KANOE”

hować! Na przykład, pan, mister Gardner? Chwalił się pan, że nikt dotychczas pana nie obalił. Proszę spróbować się z Jimmim!

— *Well!* (dobrze) — zgodził się natychmiast młody siłacz. — Co mam robić?

— Niech pan sobie wyobrazi, że Jimmy obraził pana i pan chce go uderzyć w głowę, — podpowiedział Budzisz. — Ot tak — z góry na dół. Jimmy jest niższy od pana, więc cios będzie ciężki dla niego. A niech pan uderza mocno! Jak najmocniej!

— Biedny Jimmy rozsypie mi się na drobne kawałki! — zawołał ze śmiechem Gardner.

— Rozsypię się, albo się nie rozsypię — odezwał się spokojnie garbus, a wszyscy, oprócz Wojtka i Szymka, parsknęli głośnym śmiechem.

Tymczasem Gardner odstąpiwszy parę kroków zrobił straszną minę i krzyknął:

— Obraziłeś mnie, Jimmy Starck, musisz zginąć!

Ledwie skończył, przyskoczył do kolegi i uczynił potężny rozmach; lecz w tej samej chwili Jimmy był już przy

nim, ramię przeciwnika zeszywniało w powietrzu, zaciśnięte w dwóch miejscach przez garbusa. Gardner szarpnął się, lecz wydał nagle żalosny, pełen bólu jęk:

— Złamiesz mi rękę... Jimmy!

— Wiem o tem, więc nie ruszaj się i uważaj tylko, co nastąpi... — doradzał mu spokojnym głosem Jimmy.

Nikt z obecnych nie spostrzegł szybkiego chwytu garbusa, lecz poczuł go na sobie Gardner, gdyż nagle potknął się i niby worek z sianem osunął się na ziemię.

— No, to już i po próbie! — zaśmiał się Wojtek. — Nie radziłbym nikomu napastować poważnie naszego kolegi i przyjaciela, bo posiada on sztukę dziudżitsu, dżentelmeni, i obaj nie przestajemy się w niej trenować, ponieważ jest to sztuka pożyteczna. Ale, ale! Słyszycie gong! Musimy umyć się i iść na podwieczorek.

Wszyscy ruszyli ku domowi. Jimmy szedł obok Wojtka i od czasu do czasu szeptał do niego:

— Dziękuję! Dziękuję!

c. d. n.

F. A. Ossendowski

NASZE RADIO

16 grudnia, we środę rano o g. 11 m. 30 — program dla dzieci młodszych. „Przygody Plastusia” i inne opowiadania Marii Kownackiej dla dzieci młodszych. Ale i dzieci starsze wiedzą, kto to jest Maria Kownacka i jak ślicznie pisze. Toteż myślę sobie, że będzie tłoczno przy głośnikach. Po południu o g. 16 m. 10 słuchowisko „Wielki sekret” (kukielki śląskie) w opracowaniu Heleny Tymienieckiej z muzyką Władysława Muzyki-Zmudzkiego. Ano, — jak sekret, to posłuchajmy.

O g. 11 m. 30 we czwartek — radiowy koncert szkolny, a po południu — o g. 16 m. 20 prof. Jan Sumiński pogwarzy sobie z Wami o „Przyrodzie w grudniu”. Wprawdzie jest zimno, ale trzeba i o przyrodzie pamiętać nie tylko o nartach i sankach.

W piątek, 18 grudnia o g. 11 m. 30 słuchowisko według Jadwigi Chrząszczewskiej „Pierwsza choinka”. Bo to już blisko Boże Narodzenie.

Toteż jestem ciekawy, czy w sobotę 19 grudnia o g. 11 m. 30 będziemy „Śpiewali kolędy”. Bo, że po południu o g. 14 m. 30 będzie nadane wesołe i ładne słuchowisko według Eryka Kästnera (czyta się: Kestnera) p. t. „Gwiazdka Marcina” — to wiem.

Wiem też, że w poniedziałek, 21 grudnia o g. 11 m. 30 będzie ciekawa audycja — ale nie powiem. Przecie może być jedna tajemnica — prawda? Za to po południu o g. 15 m. 55 będzie „Wszystkiego po trochu”. Tego nie będę ukrywał.

Rano we wtorek o g. 11 m. 30 — ostatnia audycja szkolna przed świętami. Dla młodszych dzieci. Będzie śpiewał chór. Odbędzie się słuchowisko Ewy Szelburg Zarembiny: „Jak bury kotek uśpił Jezuska”. Bo w poprzednią sobotę tego nie było, tylko co innego.

To już wszystko. Tylko jeszcze „Wesołych Świąt” życzy Wam

Wujaszek Radiowy

LISTY OD REDAKCJI

Z serdecznym życzeniem „Wesołych Świąt” przychodzę dzisiaj do moich Czytelników i cieszę się, że znów czeka na Was radość i trochę wypoczynku.

A że to już Nowy Rok za pasem, życzę, by przyniósł Wam dużo szczęścia, zdrowia, chęci do nauki i pracy. Wy zaś przynieście jak najwięcej radości Rodzicom, Nauczycielom i całemu swemu otoczeniu. Dziękuję za listy nadesłane przed świętami. Przewijają się w nich humor i uciecha.

Moi Przyjaciele z Sypniewa mają chodzić w okresie świątecznym po domach z gwiazdą, szopką kukielkową, kolędami i tańcami. Rad bym dostać opis tego chodzenia po kolędzie wraz ze śpiewkami i wierszykami, gdyż bardzo lubię staropolskie zwyczaje.

Myślę, że i inni czytelnicy nie pokąpią mi opisów przedstawień, uroczystości choinkowych i opowiadań na temat: co miłego i pożytecznego przyniosły im upragnione ferie świąteczne.

Członkowie Koła Dobroci z Łodzi zaprenumerowali na Gwiazdkę „Płomyk” kolegom na Wileńszczyźnie i pytają mnie, czy rad jestem, że przybędą mi z Nowym Rokiem nowi Czytelnicy.

— Właśnie to jest moim największym pragnieniem, aby mnie każde polskie dziecko czytało.

Za listy dowodzące pamięci o „Płomyku” dziękuję: Uczniom klasy VII z Nowego Miasta, Klasom VIa i VIb szkoły powsz. w Piekieleku, Uczniom klasy VI szkoły powsz. w Przytułach, Dzieciom szkolnym z Lubienia, Szóstoklasistom z Bystrzycy nad Słuczem, Hani Kublikowskiej ze Skarżyska i Bogumiłowi Byczkowskiemu z Grodna.

Czytelnik „Płomyka”, Frydman P., uczeń klasy V szkoły powsz. w Łęcznej, woj. lubelskie, pragnie drogą wymiany listów otrzymywać wiadomości o życiu w stolicy i prosi rówieśnika z Warszawy o nawiązanie z nim korespondencji.

Osobki do szopki figurki przerysować i pomalować

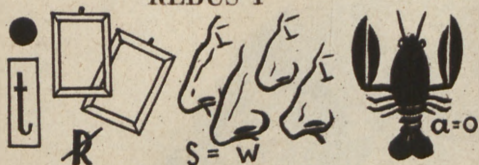




po linii
kreskowanej
zagiąć

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS 1



REBUS 2



ZAGADKA 1

Na wodzie się położył,
w wodzie się nie zanurzył.
Mróz go wcale nie trwoży,
a ciepło mu nie służy.

ZAGADKA 2

Dwie deski, dwa kije.
Biega, a nie żyje.

ZAGADKA 3

Przyjechała do nas
królewna zielona,
tysiąc srebrnych gwiazdek
miała na ramionach.
Gwiazdki postradała,
ogniem zajaśniała,
stoi pod ścianą,
z szatą przybraną,
złocista cała.

ZAGADKA 4

Nie wiadomo kiedy,
nie wiadomo skąd
przyszedł nowy,
uciekł stary.
Jeden jest do pary,
drugi nie do pary.

ROZWIĄZANIE Z Nr 15

Rebus 1 — intrologator, 2 — nasza biblioteka. Zagadka 1 — biblioteka, 2 — okulary, 3 — druk wypukły Braille'a. Szarada — drukarz.

*PŁOMYK ZASYŁA MIŁYM CZYTELNICZKOM I CZYTELNIKOM
SWOIM NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE I NOWOROCZNE!*

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	W prenumeracie pojedynczej:
miesięcznie zł. —80	miesięcznie zł. 1.10
półrocznie „ 3.75	półrocznie „ 5.—
rocznie „ 7.50	rocznie „ 9.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

Prenumeratę prosimy nadsyłać blankietem P. K. O. Nr. 435.

W Warszawie prenumeratę przyjmuje filia miejska „Płomyka” przy ul. Świętokrzyskiej 18, telef. 5-22-18, od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

W Wilnie prenumeratę przyjmuje filia „Płomyka” przy ul. Wielkiej 40, telef. 21-31, od godz. 9-ej rano do 7-ej wiecz.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

KOMITET REDAKCYJNY CZASOPISM DZIECIĘCYCH ZWIĄZKU NAUCZ. POLSKIEGO:

W. Burek, I. Huber, M. Kotarbiński, H. Ładosz, S. Machowski, F. A. Ossendowski,
E. Szymański, A. Swirszczynska, W. Wasilewska, I. Wilska.

Kierownicy artystyczni: E. John, K. Pieniążek.

Wydawca w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI

Druk. Rotograw. Dom Prasy, S. A., Warszawa



TRZEJ KROLOWIE

Mal. Piotr Stachewicz